MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 15. WARSZAWA, 13 KWIETNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZŁOWROGIE PLANY

Mnożą się oznaki tego, że złota międzynarodówka, czyli wielkie finanse, ustaliły już pewien plan walki czynnej z zastojem przemysłowym, trapiącym państwa zachodnie, zwłaszcza Anglję, i nie omylimy się pewno, jeżeli do ogniw tego planu zaliczymy odczyty o „dwóch Europach" których niedawno wysłuchaliśmy w Warszawie. Prelegent p. F. Delaisi z Paryża jest autorem wydanej niedawno książki p. t. „*Les Deux Europes*", a przedmowę do tej książki napisał p. Heineman, wybitny członek potężnego konsorcjum, starającego się o koncesje elektryfikacyjne w wielu krajach Europy. Książka, jak i odczyty, proponują jako lekarstwo na niedomagania przemysłowej Europy ustalenie dzisiejszej preponderancji przemysłowej państw zachodnich przez podział Europy na dwa „obszary": przemysłowy i rolniczy. Przemysłowy zaopatrywałby rolniczy w wyroby fabryczne, a rolniczy wywoziłby do przemysłowego produkty swej pracy na roli. Jeden nie robiłby drugiemu konkurencji i oba pędziłyby żywot w szczęściu i pomyślności. Obszar rolniczy musiałby zwiększyć swą produkcję, żeby stać się jak najlepszym odbiorcą przemysłu zachodniego i w tym celu obszar przemysłowy podejmuje się elektryfikacji obszaru rolniczego i zaopatrzenia go w nowoczesne narzędzia pracy. Przypuszczam, że z odpowiednim zarobkiem.

Celem niniejszego artykułu nie jest merytoryczne rozpatrywanie tego planu. Jest on zarazem naiwny i zuchwały. Naiwny, bo wynika z naiwnej zaiste wiary w materjalizm dziejowy, który z tępych głów socjalistycznych przeszedł najwidoczniej do otwartych „*kepełe*" bankierów, — zuchwały zaś, gdyż waży się na tworzenie z niektórych narodów jakichś nowych „*glebae adscripti*", z których pracy inne piankę by zbierały. Chcę tylko zwrócić uwagę na to, że p. Heineman, człowiek firmowy, wyraźnie wskazuje na „Bank wypłat międzynarodowych" jako na instytucję, która mogłaby się zająć finansowaniem tego projektu. W ten sposób rola owego banku, jako narzędzia złotej międzynarodówki, o czem pisałem w „Myśli Narodowej" przed paru miesiącami, została z kompetentnej strony bardzo rychło potwierdzona.

Dzisiejszy system gospodarczy przechodzi nietylko chwilowy, jak się jeszcze często łudzą, kryzys powojenny, ale kompromituje się zasadniczo w oczach wszystkich, komu suggestja i reklama nie odebrała zdolności zdrowego sądu. Nie wiem, czy można było sobie wyobrazić jaskrawszą kompromitację, jak z tym słynnym już „katastrofalnym urodzajem", którego skutki teraz właśnie odczuwamy. Jakto, więc urodzaj, to znaczy obfitość chleba i żywności, może być katastrofą? Niełatwo się z taką myślą pogodzić i musi powstać podejrzenie, że może to przecież nie obfitość darów Bożych jest przekleństwem, a tylko fałszywy sposób gospodarowania niemi, zbyt całkowicie na wymianie oparty. Trudno jednak wymagać od arcykapłanów dzisiejszego porządku rzeczy, żeby fałsze tego porządku uznali i nie można im się dziwić, że w obronie swojej aż tak fantastycznych chwytają się planów, jak wykładany przez p. Delaisi. Natomiast od kierowników gospodarczej polityki państwa polskiego powinniśmy wymagać, żeby wobec załamującego się systemu dzisiejszego szukali nowych dróg, odpowiadających naszym interesom i potrzebom. Dotychczas tego nie widać.

Nasza polityka gospodarcza wlecze się w ogonie systemu industrjalnego i osiąga rezultaty raczej paradoksalne. Jesteśmy dostawcami dla zagranicy taniego np. węgla i cukru, a sami płacimy za te

produkty drogo. Zapatrzeni w zachodnie wzory usiłujemy bez większego powodzenia pomagać wielkiemu przemysłowi, a zostawiamy w zupełnem zaniedbaniu, nawet dezorganizujemy tak stosunkowo łatwe do pobudzenia rzemiosło. Elektryfikacja kraju, rzecz kapitalnego pod tym względem znaczenia, jest traktowana opieszale. Nie widać również pracy twórczej w sprawach rolnych. Idziemy i tu za szablonem. Szczęściem, że plan finansjery międzynarodowej drażni nasze ambicje narodowe, bo ,kto wie, czy zasuggestjonowani modną dziś „racjonalnością" projektu nie znaleźlibyśmy w jego przyjęciu ujścia dla naszej... bierności.

Ekonomiczne projekty p. Delaisi nie wywołały u nas entuzjazmu i można byłoby traktować je tylko jako ostrzeżenie, nie zajmując się niemi bliżej, gdyby nie to, że według wszelkiego prawdopodobieństwa mają one i swoją stronę polityczną, którą opinja polska musi dobrze zrozumieć i należycie ocenić, żeby nie spadły na nas niespodziewanie bardzo ciężkie w następstwa fakty dokonane.

Złota międzynarodówka używa oczywiście w swej działalności konspiracji i planów swoich nie ujawnia, trzeba więc wielu rzeczy się domyślać z okoliczności raczej ubocznych. Otóż jedną z takich okoliczności jest dość częste wypływanie w publikacjach, traktujących sprawę uzdrowienia stosunków gospodarczych w państwach przemysłowych, słowa „Ukraina", dawniej niespotykanego. Czytam np. rozważanie szans zdobycia rynku dla wyrobów przemysłowych w Afryce i znajduję tam zdanie, „że murzyn, mimo wszystkie wysiłki reklamy i przekonywania, jest słabym bardzo odbiorcą, i Afryka gorsza jest pod tym względem niż biedna, chłopska Ukraina". Skąd Ukraina przychodzi tak łatwo Francuzowi do głowy jako porównanie? Czemu nie powiedział „Rosja", jakby to niewątpliwie zrobił przed wojną, a właśnie Ukraina, o której istnieniu dowiedział się zapewne przed tygodniem? Widocznie interesują się w tych sferach Ukrainą i to jest zrozumiałe, bo w koncepcji „Europy rolniczej" czarnoziemne, słoneczne stepy ukraińskie muszą przecież znaleźć należyte uwzględnienie. Ale ziemie te są pod władzą sowietów, a z sowietami, jak wykazały wszystkie doświadczenia z koncesjami, nic się nie da zrobić, nawet gdy się puści wszystko w niepamięć i nie ma się żadnych skrupułów. Trzeba więc znaleźć inne wyjście. I tu jest punkt dla nas najważniejszy.

Leon Daudet podał niedawno do wiadomości w „*Action Française*", że porwanie Kutiepowa ma według otrzymanych przez niego wiadomości związek z planowaną przez finansjerę interwencją zbrojną w Rosji, że Kutiepow był upatrzony na dowódcę sił zbrojnych, które miały ruszyć na Rosję od strony morza Czarnego. Rewelacja ta zgadza się doskonale z planem „dwóch Europ" i wyjaśnia jednocześnie sprawę Kutiepowa.

Porwanie jednego z wielu generałów emigracyjnych, chociażby nawet zajmującego wybitne stanowisko, nie opłacałoby ryzyka, jakie taki rapt pociąga za sobą, o ile oczywiście generał ten zajmował się tylko zwykłą działalnością emigrancką. Ryzyko staje się jednak usprawiedliwione, skoro ten generał jest wtajemniczony w owe plany, o których bolszewicy jakąś wiadomość niewątpliwie dostali. Wtedy warto zaryzykować wiele, żeby go dostać w swe ręce i tak czy owak do zdradzenia tych planów zmusić.

Oderwanie Ukrainy od Sowietów zgadza się nietylko doskonale z planem rolniczej Europy południowo-wschodniej, ale także z Odesy i Mikołajewa jest blisko do kaukaskiej nafty i manganu! Interes znakomity, niema dwóch zdań, ale nawet sir Henri Deterding, chociaż jest tylko królem naftowym, a nie żołnierzem, rozumie, że siły emigrantów rosyjskich nie wystarczą na taki „azard". Trzebaby pchnąć również zachodnich sąsiadów Sowietów, Rumunów i Polaków. Niemcy poprą taką imprezę całą duszą, bo gdyby Polska dała się w nią uwikłać, to Pomorze i Gdynia spadną im same, jak dojrzały owoc, na łono.

Są to oczywiście tylko domysły, ale sprawy są tak ważne, że nawet najfantastyczniejszych planów nie możemy lekko traktować. Trzeba, żeby opinja nasza była uświadomiona i mogła dać należytą odprawę wszelkiej pod tym względem podejrzanej propagandzie.

Wystarczy, że mamy już doradcę finansowego; w którą stronę ma być front Polski zwrócony, to już będziemy decydować sami.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

BĘKARCI STANCZYKA

I

LEŻY na półkach księgarskich obszerna monografja Józefa Piłsudskiego, napisana przez Jana Starzewskiego. Starzewski — to były legjonista. Szedł po linji N. K. N'u, potem bodajże drugiej brygady, zresztą „Czasu", którego ojciec jego jest głównym wydawcą. Nie wkraczalibyśmy w sferę jego uczuć i przywiązań, które są ostatecznie indywidualną jego własnością, gdyby nie to, że na jednej ze stronic swojego dzieła rozwija p. Starzewski paralelę pomiędzy akcją rewolucyjną swojego dzisiejszego bohatera a teorją pracy organicznej, właściwą dawnej szkole krakowskiej. Zdaniem jego — Kalinka, a zapewne i Klaczko, Szujski, Tarnowski — to poprostu prekursorowie Piłsudczyzny.

I znowu nie zajmowalibyśmy się śmiałą teorją młodego dyplomaty, gdybyśmy tylko osobiste u niego podejrzewali pobudki przy tworzeniu tego rodzaju dzieła. Nie! u p. Starzewskiego, jak u tylu innych, od niego starszych, działa, przy stosowaniu takich właśnie odruchów, „nastawienie" we-

wnętrzne, którebym ochrzcił „przeżytkiem *Franz-Josephismu*". Niedarmo — poprzez pokolenia — chrzciło się synów dynastycznemi nawskroś imionami Rudolfów i Leopoldów, niedarmo — przez lata całe — oddawało się mistyczny niemal kult praprawnukowi wielkiej płaczki z Burgu, iżby ten kult — trybem jakgdyby freudowskim — nie miał poszukać sobie i w teraźniejszości surogatów. „Znam, zanadto dobrze znam" — jak powiada Stańczyk z „Wesela" do ś. p. Rudolfa Starzewskiego.

Ja się pytam tylko, jako dziecko Krakowa, jak to się działo, że w przeciągu lat kilkudziesięciu „szkoła krakowska", którą pamiętam jeszcze tak dobrze z lat mojego dzieciństwa, tak gruntownie odmieniła swoje oblicze. Sądzę, że wiele do tego przyczyniły się wpływy Uniwersytetu Jagiellońskiego. I nie mam tu na myśli owych Zollów, Fierichów, Majerów, których dewizą życiową było niewątpliwie „*Ruhe ist des Bürgers erste Pflicht*" — ci napewno nie byli prekursorami Piłsudczyzny; nie mam nawet na myśli dość licznych zresztą latorośli rodzin „mechesowskich", które po dziś dzień obsiadają katedry szkoły jakiellońskiej (tu jednak pozwolę sobie wymienić jedno znaczne nazwisko — człowieka, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, pochodzącego ze sfery neofickiej, a to ś. p. Ulanowskiego, świetnego niegdyś sekretarza krakowskiej Akademji). To były wpływy, ale nie wpływy decydujące. Co innego z takim Wilhelmem Creizenachem, autorem światowej sławy dzieła o „Historji dramatu nowoczesnego". Tenci wychował niezły zastęp humanistów krakowskich najprzedniejszego liberalnego stempla. To też nie można przecenić jego wpływów. Frankfurtczyk, jak Goethe, jak Schopenhauer, ale nie Aryjczyk, kość z kości i szpik ze szpiku żydowskich B'nai Brith'ów (Creizenachowie: Michał i Ignacy są prawdziwemi tuzami wolnomularstwa niemieckiego), Creizenach wywierał na przełomie dwóch stuleci wpływ olbrzymi na życie intelektualno-towarzyskie Krakowa, gromadząc wokół siebie, u Hawełki, perjodycznie starszych i młodszych „*Zeitgenossów*".

Drugim wpływowym „asem" uniwerstyteckim był — za lat mojej młodości — Ojciec Stefan Pawlicki.

Rozmaite bywały poglądy w środowisku krakowskiem lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych stulecia ubiegłego na znaczenie sprawy żydowskiej:

„Idzie teraz na nasz kraj — pisał w roku 1896 ksiądz Marjan Morawski—wielkie niebezpieczeństwo czy też wielka próba, jakiej nie doświadczył w przeszłości. Chmara żydów mieszkała u nas od wieków, ale nie wnikała w naszą społeczność, trzymaną była zdaleka odrębnem wychowaniem i położeniem prawnem. Gdy, za naszej pamięci, zapory prawne zostały usunięte, nie odrazu skutek dał się uczuć w całej pełni, musiały nowe przyjść generacje. Dziś już wielu żydów, naukowo wykształconych, pnie się w górę, zdobywa różne stanowiska w ustroju naszego kraju. Ale to są, jak się zdaje, dopiero harcownicy na przedzie idący; gdy się rzuci okiem na gęste tłumy tego szczepu za nimi idące, które też prawdopodobnie, i to niebawem, w tym ruchu wezmą udział, to strach przechodzi na myśl, co grozi naszej religji, obyczajom i narodowość . Środki obrony, o których mówiliśmy poprzednio, ograniczyć tylko mogą, może opóźnić ten przewrót, powstrzymać go zupełnie nie potrafią. Jedynie siły moralne, wzniosłe zasady i uczucia, religijne jakoteż narodowe, wszczepione wychowaniem, spotęgowane życiem, zdolne są postawić nasze skarby duchowe tak wysoko, że ich ten zalew nie dosięgnie" [1]).

---

[1]) „Asemityzm", wydanie II, str. 54—5.

Pawlicki natomiast zgoła odmiennie zapatrywał się na kwestję żydowską. W rozmowach z uczniami był konsekwentnym krzewicielem poglądu, że naród żydowski jest — co do kultury — równorzędnym z umiłowanymi przezeń Grekami i Rzymianami, że tedy i w życiu społecznem, politycznem i towarzyskiem należy z danego poglądu wyciągnąć konsekwencje. Czyż dziwić się nam wobec tego, że, pośród najbliższych uczniów profesorów Pawlickiego i Creizenacha, świecą dziś niektórzy liberalizmem swoim, ba nawet masonizują?

Pod kierunkiem takich eklektycznych mistrzów wyrosła owa młodzież „amfibijna", którą niedawno, tak wymownemi dla nas słowy, charakteryzował jeden z jej grona na łamach „Czasu" [2]).

„Mało było okresów, — zeznawał tam mianowicie p. W. A. Z. — w których młodzież byłaby tak radykalną, tak pełną bezbrzeżnej pogardy dla przeszłości, dla teraźniejszości również, jak młodzież — z zachowawczą na czele — lat 1920—27.. Ktokolwiek pamięta nawpół feudalny Kraków i porówna go z dzisiejszym, porówna, co było „wolno" wówczas a teraz, porówna obyczaje, życie towarzyskie, pojęcia społeczne—ten nie zechce niemal oczom wierzyć. Jaki przewrót głęboki, zasadniczy, definitywny..."

Z takim kapitałem moralnym — zacytowaliśmy wszakże wynurzenia „Czasu" — chciała się młodsza generacja „Stańczyków" dorwać do wpływów czy rządów w Polsce. Już równo rok temu, na tychże samych łamach „Myśli Narodowej" [3]), w artykule „Na manowcach konserwatyzmu", zastanawialiśmy, się idąc śladem starego Popiela, jak się dokonała ta zupełna metamorfoza krakowskiego konserwatyzmu i „Czasu". Jak i inni przyjaciele moi, niegdyś z pod tejże chorągwi „Czasu", dochodziłem w wywodach moich do przekonania, że „w Busku Badenich... cementował się... złowróżbny sojusz emisarjuszy finansjery żydowskiej z przedstawicielami konserwatyzmu galicyjskiego", sojusz, który, w dalszym spraw obrocie, rozmaici „mili przyjaciele", Mendelsony [4]) czy Kwiatki, fruktyfikować mieli *ad majorem Israëli gloriam.*

Nie wystarczy bowiem biadać nad sytuacją „nie do wytrzymania", w której żyjemy — trzeba nadto rzeczy nazywać po imieniu. Ale historja dopiero wykazać potrafi, jakie to wpływy, czysto finansowe, grały rolę przy takiem czy innem „zbękarceniu" konserwatyzmu krakowskiego. Trzebaby wejrzeć w bilanse gospodarcze tego czy innego „matadora", trzebaby przestudjować tabelę i chronologję jego kredytów i konwersyj w bankach żydowskich: Małopolskim czy Hipotecznym, Dyskontowym czy Handlowym i jak się nazywają te wszystkie inne, które potworzyły swoje ekspozytury w Krakowie. Zrozumielibyśmy wtedy nieraz, że to z powodu zaciśnięcia się „pętli kredytowej" stawał się w danej właśnie chwili taki czy inny polityk kruchszym i na wiadome wpływy podatniejszym — wróble o tem śpiewają na dachach pałaców krakowskich i nie — krakowskich.

Kredyty i koncesje, a nie Kalinka i Klaczko, wytłumaczyć jedynie nam potrafią, dlaczego panowie krakowscy z „Czasu" kroczą dziś, z podniesionem czołem (i cytatem Kalinki na ustach), w jednym szeregu z p. Dobrzańskim, bojownikiem z brygady „badaczy pisma" z pod znaku p. Boernera.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

---

[2]) z 8 grudnia 1927.
[3]) z 14 kwietnia 1929.
[4]) Stanisław Mendelson był przecie współpracownikiem „Czasu".

SKATALOGOWANY ENTUZJAZM

PIERWSZE uczucie, którego doznałem, przerzucając ogromny tom Adamczewskiego p. t. „Serce nienasycone“ [1]) — było uczuciem radości. Nareszcie — pomyślałem — mamy wyczerpującą monografję o Żeromskim. A że nazwisko autora jaknajlepiej do książki usposabia, więc też począłem łapczywie ją wertować. Przyznam, że radość opuściła mnie dość prędko. Po kilku minutach wertowania zobaczyłem, że książka Adamczewskiego nie jest monografją o Żeromskim. Czemże więc jest?

Trzy czynniki złożyły się na powstanie tego, niepospolitego bądź cobądź, dzieła: entuzjazm, inteligencja i rutyna polonistyczna. Trójca to niezbyt zgodna, widać to już na oko, a bliższe rozejrzenie się w dziele pokazuje dobitnie, jak daleko sięgają rozbieżności tych trzech, tak bardzo odrębnych nastawień, którym wola autora kazała służyć jednej sprawie.

Na str. 128 znajduję następujące rozważanie na temat pewnego fragmentu z „Popiołów“ (samego fragmentu nie cytuję umyślnie). Adamczewski pisze:

„Krótkim, wyodrębnionym nawet graficznie, akordem „dniało“ zaczyna się obraz nieba. Światła nieśmiałe (cichy błękit, lśnienie jutrzenki, blask zorzy) podznaczają się w dole pejzażu przez ciemne smugi wzgórz leśnych. A obie te partje, drzewa i niebo, utrzymane są dotąd w tonie prawie rzeczowym, słabo zabarwionym wzruszeniem. Dopiero serdeczne brzmienie słów Piotra, zwróconych ku bratu, wprowadza ton nowy, lirycznie bogatszy. Patrzący stają w oknie, zbliżając się ku pejzażowi fizycznie — a zarazem duchowo: objęli też spojrzeniem całość obrazu, uwaga ich skupia się na misterjach wody uśpionej i mgieł. Potęgują się wtedy akcenty liryczne. To owe mgły „cudobarwne“, z żalem opuszczające „wodę samotną“ dla nieba, aż „pokropione hyzopem“ wstającej światłości dnia, mdlejąc, „wijąc się z żalu”, odchodzą: niby głos psalmu nad odchodzącą w zaświaty duszą, przenika serca patrzących wysoki ów akord „hyzopu“. Na ton wieczności, nieskończoności nastraja się ten najwyższy moment opisu. Trwa ton ów krótko, rozwiewa się zwolna, rozprasza w dalszym i szerszym widoku: mgieł w głębi, jeszcze uśpionych, drzew oddalonych, tamtego brzegu stawu, pól. Wtedy liryczny ton przygasa, a za to cały pejzaż nabiera bogatych barw: jasno - niebieskiej, różowej, szmaragdowej“.

Jedno jest w tych rozważaniach ciekawe — to, że mogą one dotyczyć równie dobrze arcydzieła, jak płodu grafomańskiego. Czytelnik może to łatwo sprawdzić. Niechaj weźmie tomik pochodzenia niespornie grafomańskiego (nie chcę dawać rad ściślej precyzowanych, z bojaźni pokrzywdzenia kogoś z licznych, a równie godnych kandydatów) i spróbuje w terminach ogólnych oddać jakąkolwiek scenę czy opis przyrody, wyjęty z tej książki. Otrzyma w rezultacie coś, co będzie wyglądało na fragment bardzo poważnej rozprawki polonistycznej: wszystko w tym referaciku będzie poprawne i nic nie mówiące. Bo przecie takie zdanie, jak „Dopiero serdeczne brzmienie słów Piotra, zwróconych ku bratu, wprowadza ton nowy, lirycznie bogatszy” — nie mówi nam nic a nic o wartości artystycznej omawianego fragmentu... Tonem „nowym“, „bogatszym”, „lirycznym” — można ochrzcić równie dobrze falowanie uczuciowości Żeromskiego, jak... — ale zostawmy żywych w spokoju — zależnie od tego, **kto** ocenia. W zdaniach tego typu wartość artystyczna jest już przesądzona (często przemilczana), a to, co zawiera ją, jest poprostu opowiadaniem (nieraz upoetyzowanem) w terminach ogólnych — spraw konkretnych. Opowiadanie takie, jeśli je poprzedza rzeczywisty rozbiór estetyczny fragmentu — jest tylko niepotrzebnostką, którą się po pierwszych zaraz zdaniach opuszcza; gorzej, gdy jest jedyną reakcją „analityczną” badacza, jak to, och, jakże często, zdarza się naszym pracowitym polonistom. Ale nie wyolbrzymiajmy niebezpieczeństw rutyny polonistycznej; może ona narzucić komuś nudne manjery pisarskie — ale nie zabija go przecie, jeśli żył kiedykolwiek. Właśnie dzieło Adamczewskiego ilustruje doskonale tę optymistyczną tezę. Na każdej niemal stronicy „Serca nienasyconego” składa autor tak liczne dowody subtelnej orjentacji estetycznej i bystrego zmysłu psychologicznego, że pozwoliło nam to na zupełnie otwarte poruszenie jego manjeryzmu polonistycznego, dość silnie, niestety, dającego się we znaki czytelnikowi. Drugim, nie mniej dotkliwym defektem książki Adamczewskiego jest to, że przyrządził ją autor na błękitno. Jest cała liryzowana i to bardzo pastelowo. Dziwna to książka: poświęcona jest brutalnemu lirykowi (w stosunku do Żeromskiego to określenie niema w sobie nic z *contradictionis in adiecto*) krwawiącemu szalonemi erupcjami swych stepowych uczuć; i o tym wulkanie, uznając i podnosząc jego „wulkaniczność“ — mówi w tonie Amicisowego „Serca“; entuzjazm zaś swój, wyrosły z obcowania z ukochanym pisarzem, segreguje się i szpileczkuje, jak motylki w pudełku.

Ten melanż rutyny, ckliwości i inteligencji wywiera wrażenie dość niepokojące, odbiera też książce w znacznej mierze walory informacyjne. Ukazało się niedawno dzieło Borowego o Chestertonie, które obok innych poważnych walorów — jest wybitną książką informacyjną. W ciągu paru minut odnajduję tam to, czego szukam. Mogliśmy się spodziewać, że coś podobnego da nam Adamczewski w swem „Sercu“. Dość jednak rzucić okiem na tytuły rozdziałów, aby się przekonać, że tak nie jest: „Niedosięgłe oczy“, „Odnowicielska siła żywosłowu“ „Czuj“... Niewiele z tego wiemy; prawda, że podawane pod tytułami rozdziałów streszczenia znacznie sprawę rozjaśniają. Ale jeśli nawet znajdziemy klucz orjentacyjny w tym niebieskim labiryncie, to czeka nas jeszcze jedno rozczarowanie, ważniejsze: oto autor ograniczył się, jak sam to zresztą podkreśla, do rozbioru estetycznego dzieł Żeromskiego, pozostawiając na uboczu sprawy społeczne i ideologiczne. A że znowu ten rozbiór estetyczny jest mocno upoetyzowany, więc dostajemy ostatecznie coś w rodzaju podręcznika dla zakochanych — podręcznika zresztą napisanego po mistrzowsku.

Oto ogólny obraz książki, taki jak przedstawia się oczom „odczyniaczy“ uroków Żeromskiego, do której to kategorji zaliczył mnie Adamczewski. Na rozprawienie się ze wszystkiemi tezami Adamczewskiego trzebaby kilkudziesięcio - stronicowej broszury. Wybiorę więc to, co mnie najbliżej obeszło.

[1]) Stanisław Adamczewski. Serce nienasycone. Książka o Żeromskim z 8 ilustracjami. Poznań. R. Wegner str. 435 + 5 nlb. + 8 tablic.

Adamczewski, mimo swego entuzjazmu dla Żeromskiego, nie jest wobec ulubionego pisarza bezkrytyczny. Nawiasem mówiąc, ten krytycyzm raczej komplikuje niż upraszcza sprawę: nie niweluje on lirycznego nastawienia autora wobec tematu — krępuje zato polot entuzjazmu. Tak czy inaczej, krytyczne uwagi Adamczewskiego, dotyczące artyzmu Żeromskiego, są godne bacznej uwagi i w wielu wypadkach niezmiernie trafne. Cechy te posiadają w znacznym stopniu rozdziały „Królestwo superlatywu i manjery”, jak również „Niedosięgłe oczy”. Zresztą, zdaniem mojem, możnaby krytycyzm posunąć znacznie dalej. Reasumując uwagi, które mi się nastręczyły przy czytaniu tych rozważań, powiedziałbym, co następuje.

Autor „Serca nienasyconego“ jako najpoważniejszy zarzut przeciw stylowi Żeromskiego wysuwa manjeryczny superlatywizm, natłok słów, wyobrażeń, zdań, usiłujących zbyt wielostronnie ująć przedmiot, a przeładowanych wyrażeniami „bez pokrycia“ (co do tego ostatniego punktu — inflancji stylistycznej — ma zresztą autor znaczne restrykcje). — Otóż wprowadziłbym tu jedno rozróżnienie, zdaniem mojem, niezbędne. Przeładowania stylowe Żeromskiego są typu dwojakiego. Albo polegają na b e z s y t u a c y j n o ś c i, albo na tem co przez analogję do techniki fortepianowej nazwałbym p a s j ą p e d a l i z a c j i. — Bezsytuacyjny jest styl, obfitujący w wyrażenia gromkie, efektowne, ale nieprecyzyjne, nie oddające jednoznacznie tej sytuacji realnej, czy psychologicznej, którą miało się oddać. Adamczewski ten tylko rodzaj przeładowania stylowego krytykuje. Broni natomiast owego nieznośnego nadużywania pedału, którem wciąż grzeszył Żeromski; żywiołem artystycznym twórcy „Dziejów grzechu“ była zawierucha stylowa, szedł zawsze od kosmosu — do chaosu i w tej marszrucie osiągał istotnie rezultaty niepowszednie. Stworzył specjalny rodzaj powieści liryzowanej, posługującej się właśnie tą szaleńczą pedalizacją, w której huku ginie wszystko, co jest refleksją, rozróżnieniem, analizą — zostaje krzyk. Człowiek sprowadzony do krzyku. Możnaby Żeromskiego nazwać genjuszem destrukcji nie w znaczeniu banalnie dydaktycznem (jak to się niesłusznie czyni), ale przedewszystkiem w znaczeniu estetycznem i myślowem. — Inaczej na tę sprawę patrzy Adamczewski. Oto w jakich słowach charakteryzuje on liryzowaną powieść Żeromskiego:

„Nie leży zaś w charakterze autora—chłodnem i badawczem okiem patrzeć na grę psychiczną swych literackich medjów. Najchętniej w chwilach nawałnicy uczuć u bohatera — pisarz się z nim utożsamia, sam jakby pasji wzruszenia ulega. Powstają wtedy nie analizy psychologiczne, — ale liryczne poematy bólu, rozpaczy, upojenia, szału. Stąd pochodzi ów tak odrębny w literaturze charakter liryzowanych powieści Żeromskiego“... „w tem właśnie jego odrębność pisarska i nowy, własny styl beletrystyczny, w który przyoblekła się silna, nieuległa kanonom twórcza jego natura. (W tem może okazała swą męską odporność względem wzorów i mistrzów). Zgodnie z typem emocyjnym autora, te jego pokazy przebiegów psychicznych to najczęściej jakieś (jak sam to określa) „cyklony uczuć“, jakieś „głuche zatracenia się w uczuciu“, słowem — istne erupcje uczuciowego żywiołu“.

Za zasługę poczytywać należy Adamczewskiemu, że tak trafnie scharakteryzował liryzowaną powieść Żeromskiego, ale trudno zgodzić się z nim w ocenie tego typu twórczości. Te poematy krzyku mają krótki oddech i niesłychanie mało mówią nam o człowieku, mówią zresztą zawsze to samo. Człowiek, zamieniony w spazm bólu, godzien jest najżywszego współczucia, ale ubożeje niesłychanie w swej treści wewnętrznej; cała jego skala psychiczna kurczy się i zamyka w jednym krzyku, w jednym odruchu — człowiek staje się monomanem cierpienia. Żeby choć Żeromski był monografistą bólu! — Ale nie, nawet tu, na swym wybranym terenie nie chce poznawać, chce być wiecznie ogłuszony szumem własnych słów; ból nie pociąga go swemi oryginalnościami strukturalnemi, jak np. Dostojewskiego: autor szuka nieartykułowanych skłębień bólu, gdzie jedynem narzędziem artysty jest metafora.

Mniejsza o to, jaki stosunek do świata i jaki typ artyzmu reprezentuje Żeromski, ważniejsze to, że ten stosunek do świata i ten artyzm wybłyskują jedynie w krótkich erupcjach, nużąco do siebie podobnych, acz bogatych metaforycznie. Nie można oddychać w tej atmosferze! Można to raz zobaczyć, ale niema poco tam pozostawać.

Wywody Adamczewskiego, zmierzające do wykazania, że pisarze o skłonnościach analitycznych dają nam „preparaty, tchnące nieraz pracownią uczonego“ — należą do jaskrawych niesprawiedliwości entuzjazmu monografisty Żeromskiego. (Przypominamy Dostojewskiego, Baudelaire'a, Mauriac'a!) Postawa krzyku staje się tu ideałem szczerości! Raczej skłonny jestem podejrzewać o nieszczerość ludzi, którzy ze spazmu i zapomnienia stworzyli sobie religję, ba wyznanie. Spazm może być koniecznością, ale spazm uprawiany s y s t e m a t y c z n i e ma w sobie coś odrażającego.

Do celniejszych rozdziałów książki należą, jak wspomniałem, „Niedosięgłe oczy“. Mówi tam autor głównie o stosunku Żeromskiego do religji. Charakterystyka tego stosunku trafna i dobrze zilustrowana przykładami, odsłania jednak (zapewne wbrew intencji monografisty) dość skąpą wyobraźnię intelektualną Żeromskiego. Jego racjonalistyczne objekcje przeciw religji i naturalistyczna krytyka nieśmiertelności, zupełnie na miejscu, jako punkty rozważań młodzieńczego umysłu — dziwnie wydają się ubogie u dojrzałego pisarza, żyjącego w dodatku w epoce takiego przerafinowania psychologicznego i intelektualnego, jak nasza. Ani kroku poza najprostsze antynomje, absorbujące młodzież z ławy szkolnej. Nasycenie uczuciowe stanowi jedynie o wartości tych rozważań.

Wśród form ekspresji Żeromskiego wybitne miejsce zajmuje humor, ironja, tak bardzo dla pisarza charakterystyczne (i starannie przez Adamczewskiego zanalizowane) kpiarstwo liryczne, sarkazm, nawet śmiech. Brak tylko jednego: dowcipu. Jest to brak wielce charakterystyczny, zdradza on bowiem i mały stopień refleksyjności autora i nieumiejętność zdobycia należytego dystansu od opisywanych rzeczy. Żeromski jest i chce być z niemi ciągle *corps à corps*. — Jako surogat dowcipu występuje u Żeromskiego nierzadko anegdota, często wytarta i niewybredna.

Oto garść uwag, w większości negatywnych (jak przystało na „odczyniacza uroków“), które nasunęły mi się przy czytaniu „Serca“ nietylko o samej książce, ale i o jej temacie — twórczości Żeromskiego. Strony dodatnie niepospolitego dzieła Adamczewskiego znajdą niewątpliwie licznych i wymownych tłumaczy.

JAN EMIL SKIWSKI

O MICKIEWICZU I TOWIAŃSKIM, TUDZIEŻ O BRONZOWNIKACH I BRONZOBURCY

UWAGI NA CZASIE

(Ciąg dalszy)

GDYBY jednakowoż w Przedmowie Boya nie było nic więcej, prócz wspomnianych i niewspomnianych korektur i uzupełnień dotychczasowych sądów o Mickiewiczu, wolnoby było widzieć w niej co najwyżej jeden jeszcze szkic literacki, uderzający śmiałością i precyzją myśli, zasobny niejednem spostrzeżeniem trafnem, ujęty w formę lekką, iskrzący się błyskami dowcipu, wybornego zawsze, jeżeli nawet nie zawsze stosownego; słowem, byłaby to jedna z lepszych, przez doskonałego majstra wykonana... robótka bronzownicza. O szczegóły w niej możnaby się zapewne spierać, ale całość mieściłaby się doskonale w dotychczasowych ramach pojmowania Mickiewicza.

Ale Przedmowa miała być czemś zgoła innem; miała być rewizją, rewolucją, zburzeniem starego gmachu, a nie dekorowaniem go nowemi płaskorzeźbami czy wieżyczkami; raczej nie zburzeniem może, ale wołaniem o przebudowę, poniekąd nawet szkicem jej przyszłego, należytego planu. Tej sprawy jeszcześmy tu dotąd nie dotknęli. Czas więc na nią.

Od pierwszej zaraz stronicy musi uderzyć, że Przedmowa jest odruchem zniecierpliwienia, że rodzi ją chęć zareagowania na tę koncepcję Mickiewicza, która uchodzi za obowiązującą w nauce naszej i w nauczaniu. Upraszczając sobie sprawę, już to dla konceptu już też dla ułatwienia polemiki, stawia ją Boy w ten sposób, że dotąd w literaturze krytycznej polskiej wznoszono przed nami Mickiewicza jako posąg z bronzu, a tymczasem właściwiej jest widzieć go jako „człowieka żywego". Inaczej mówiąc, zrobiono z Mickiewicza postać jednolitą, wzór doskonałości, zastygły w hieratyzmie, obrany z tego, co w nim arcyludzkie i arcyziemskie, uproszczony w swej treści duchowej do wymiaru umoralniających powiastek.

Z pasją uderza Boy raz po razu w tę irytującą go symplifikację; mierżą go „uświęcone konwencje", zbrzydła mu ta doskonałość, harmonja, w jaką układano życie wewnętrzne Mickiewicza. „Czuwano pilnie, aby na tym posągu nie było rysy. Wszystko od początku do końca musiało być w nim jednolite, musiało być piękne, musiało być wielkie, — życie i dzieło". Właśnie jak posąg odlany. To też dotychczasowych historyków literatury, w szczególności „mickiewiczologów naszych" mieni ryczałtowo „bronzownikami". Za swoje zaś zadanie uważa „odełgać" dotychczasową wiedzę o Mickiewiczu, postać z posągu — ożywić, po ludzku nam ją przybliżyć.

Kto się orjentuje w organizacji twórczej i w zwyczajach stylistycznych autora Przedmowy, złośliwego pozatem satyryka i humorysty, rozumie, że w takiem stawianiu sprawy jest coś z kawału, zarazem wiele uproszczenia, nieodłącznego od każdego konceptu. Zajmiemy się tą sprawą bliżej, omawiając „Bronzowników", książkę, w której ona stanowi jeden z istotnych elementów treści. W Przedmowie bowiem spór z „bronzownictwem" jest tylko przygrywką, a zarazem jaskrawą powłoką, przynętą dla dzisiejszych niewybrednych czytelników, żądnych wszędzie widowiska i bitki. Autorowi chodzi w gruncie rzeczy o co innego; zmierza on do celu znacznie ważniejszego, mianowicie poprostu do przebudowy koncepcji Mickiewicza. W całem wystąpieniu jego to jest rzeczą najistotniejszą. Wyraźnie to trzeba podkreślić, bo w dotychczasowej dyskusji punkt ten nie został należycie uwydatniony. A powtarzam, on to właśnie stanowi tam istotę sprawy.

Do problemu: „Mickiewicz — a my" przystąpił Boy na serjo. Postanowił pokazać dzisiejszemu pokoleniu polskiemu Mickiewicza z nowej strony, z takiej, od którejby on mu przypaść mógł najbardziej do gustu, zainteresować naprawdę i osobiście. Zadanie rzeczywiście warte trudu; podjąwszy się go, wylegitymował się autor dostatecznie z tytułu, jaki sam sobie przyznaje, „namiętnego czciciela poety". Z drugiej strony obowiązuje to również recenzenta Przedmowy, żeby — nie godząc się nawet na wyniki — podjęcie samo traktowawał z należytym respektem.

Jakaż to więc ta nowa koncepcja Mickiewicza? Mówi o niej Boy wyraźnie, owszem raz po razu do niej powraca; chciałby ją czyteleikowi uczynić jasną, wprost zasuggerować. Pojmowaliśmy dotąd — powiada, — Mickiewicza jako harmonję, ład, kiedy naprawdę jest on czemś wręcz przeciwnem. Życie duchowe tego bezprzykładnego fenomenu ludzkiego pokazuje, że treścią był mu właśnie żywioł nieuhamowany, wir niezgłębiony, żeby użyć obrazu Wyspiańskiego: „ogrom i burza i płonący las". Gdzie dotąd dopatrywano się rozwoju wewnętrznego, wskutek czego usiłowano rozwój ten ująć w pewien porządek, oznaczyć system krystalizacyjny tej duszy — wszędzie tam widzi krytyk „walkę, rozdźwięk, paradoks"; istotą tego kosmosu, jaki się zawarł w Mickiewiczu, jest właśnie chaos, waśń skłóconych żywiołów, w tem uroczna niesamowitość jego potęgi i wielkości. „Wspaniały tragizm jego życia leży nie w jednolitości, ale w jego walkach i rozdarciach". „Wedle szkolarskich sądów",—mówi Boy o parę stronic dalej,—„Mickiewicz to mądrość, umiar, harmonja, coś jowiszowego; gdy tymczasem Mickiewicz to ślepa siła, wybuchająca niespodzianie, nawpół świadoma siebie, nieoczekiwana. To opętanie człowieka, którym namiętność włada zawsze, który oddaje się jej niepodzielnie, który idzie w niej do ostatnich krańców". Oto Mickiewicz w nowem ujęciu: nieokiełzana namiętność i cierpienie, wybuch i płomień, otchłań z kłębiącym się w jej przepaściach żywiołem.

Niesposób zaprzeczyć, że tak ujęta „czysta treść człowieka" może w tej koncepcji uderzyć, niejednego zapewne pociągnąć swą „otchłannością", a więc istotnie podziałać ożywiająco na stosunek czytelnika do Mickiewicza. Być też może, iż to ujęcie odpowiada usposobieniu duchowemu dzisiejszej generacji literackiej, która nie odnalazła jeszcze swej wielkiej busoli i w sobie rozdarta kłębi się i męczy w dramatycznym impasie bezdogmatyzmu, która więc do tak ujętego Mickiewicza może powziąć sympatję z powodów wprost osobistych, powitać go jak swego. Niewątpliwie Boy, ujmując Mickiewicza, jak go ujmuje, mówi o nim

mową współcześnie zrozumiałą, formuje go w kształt może i ponętny dla jakiejś części pokolenia.

Tylko czy prawdziwy, co zatem idzie, czy trwały? Usiłując zwalić dotychczasową koncepcję Mickiewicza, przepędzając tego „wylizanego bronzowego katechetę", mówi Boy w pewnem miejscu figlarnie o swem wystąpieniu jako o przebudowie pomnika. „Przypuśćmy, że obecnie jesteśmy w fazie takiego przelewania posągu". Niewątpliwie, nową koncepcję zarysował on nie jako jednodniowy kaprys. Chciał zarysować w niej wizerunek poety, któryby zastąpił wizerunki dotychczasowe i wraził się na dłużej w uwagę publiczności. Wobec tego obchodzi nas pytanie o wierność, a co za tem idzie, o trwałość nowego wizerunku. Ten „żywy człowiek" czy to naprawdę Mickiewicz? Przenosząc go z dotychczasowego miejsca „kto wie, może w sąsiedztwa Dantego i Pascala?" i sadzając obok Flersa i Prousta, czy rzeczywiście wyznaczył mu miejsce właściwe i ostateczne?

Należy przypuszczać, że nie. Są racje wcale poważne, by przyjąć, że proponowana przez Boya koncepcja Mickiewicza się nie ostoi, a to z tego powodu, że błędnie ujmuje istotę zjawiska. Nie można zapewne powiedzieć, jakoby główne spostrzeżenie Boya o naturze ducha Mickiewiczowego było nieprawdziwe; owszem, pochwycono w niem prawdę, tylko że nie całą; dano pół prawdy, a drugie pół, i to ważniejsze, można powiedzieć: jedynie ważne, — właśnie że pominięto.

Niewątpliwie Mickiewicz to żywioł, to walka i rozerwanie [1]); poeta — nawskroś wybuchowy, a człowiek — „w błędach nieznużony goniec". Jeżeli w ujęciach dotychczasowych zbyt łatwo chciano o tem zapominać, jeżeli wydobywano ład, harmonję, optymizm tej duszy, a nie dostrzegano pod niemi pożaru namiętności, furji atakującego pesymizmu, — to było źle, i wytykając to, ma Boy dużo słuszności. Nie ma jednak Boy słuszności przyjmując, że w tej orgji żywiołu Mickiewicz się wyczerpuje, że w tem jest cały. Boy, który tak bezceremonjalnie ściąga historyków literatury z ubitych szos w tajemnicze gąszcze, sam zbyt łatwo wjechał tutaj na szosę—swego wulkanizmu. Nie dostrzegł, czy nie wziął w rachubę, że obok żywiołu namiętności, a raczej ponad nim, jest jeszcze w Mickiewiczu druga potęga, stale współczynna, a możniejsza: sumienie, wola wzlotu, równie żywiołowy i niemilknący—wewnętrzny nakaz prawości. A linja jego życia duchowego i rozwoju jest dopiero funkcją tych obu współrzędnych, określić ją możemy jako: n i e z n u ż o n e o p a n o w y w a n i e ż y w i o ł o w o ś c i. Działanie tych współrzędnych nie było równomierne w czasie, stąd wypadkowa wykreśla się w tak ostrych rzutach i zygzakach, niemniej kierunek jej główny jest najwyraźniejszy.

Prawda, — bez pamięci i z pasją rzucił się poeta w odeskie „brudne uciech rzeki", skąd wyniósł swą ognistą poezję zmysłów rozpalonych do białości. Ale i to prawda, że nad żywiołem krwi wnet zapanował, a z pobojowiska wyniósł nakaz woli: „lećmy, i odtąd nigdy nie zniżajmy lotu."—Podobnież w towianizmie, dał się ponieść zniecierpliwieniu, zaciążyły nad „braćmi" orle szpony jego rządu dusz; przecież niebawem powściągnął się, przełamał, kajał się i biczował w straszliwym liście z dn. 12 maja 1847 r. Tak było w stosunku do Rosji, tak potem w stosunku do Kościoła. Ilekroć namiętność wichrem żywiołu wygięła mu duszę aż po kraniec, zawsze mocą woli odchylał ją do pionu sumienia, zawsze wracał do osi głównej swego życia, do pątniczej ścieżki ku świętości.

Świętość. Może nieswojo zabrzmi słowo to w obecnej dyskusji, ale nie umiem znaleźć synonimu milszego dla ucha, mniej zarazem obowiązującego. I może się nie muszę tłumaczyć, że nie chodzi mi tu o suggerowanie jakichś metod „żywotoświątecznych", ale o jeden z tych faktów psychicznych, których uwzględnienie należy do obowiązków charakterystyki literackiej. Sam Boy zresztą tem słowem, — zaiste *ex machina* wyrzuconem, — nawpół drwiąco, nawpół serjo zamknął swą Przedmowę. Bo też istotnie ono dopiero rozwiązuje tajemnicę Mickiewicza; niesposób je ominąć, ale też niesposób zostawiać jedynie na efekt zakończenia; zmieścić się ono musi w samem rdzeniu zjawiska. Palący głód świętości — to główny, najpotężniejszy i coraz potężniejszy motor tego życia duchowego. To zarazem oś krystalizacyjna wszelakiego w niem żywiołu, lina kotwiczna rzucona w odmęty, treść właściwa i istotna kłębowiska płomieni w krzaku gorejącym. Rzecz jasna, że tutaj też oprzeć się musi swemi biegunami oś konstrukcyjna wszelkiego wizerunku tej postaci. Charakterystyka, która nie uwzględnia tego rysu duchowego Mickiewicza — można to zgóry powiedzieć — będzie błędna w samej swej istocie.

Można to oczywiście zagadać kpinami o nowych świątkach, o kanonizacji i t. p. Można. Czegoż bo dotąd nie zdołano ośmieszyć!

...żartowano z panów,
Z mędrców, z wodzów, z poetów, z lekarzy, z kapłanów;
Wszystkich na śmiech wystawił dowcipek ucieszny,
Prócz jednego szatana. On jeden nie śmieszny.

Ostatecznie jednak tej moralnej tendencji duchowej, wiążącej życie Mickiewicza w jeden kosmos, stanowiącej fundament jego osobowości i określającej jej styl, tego nieda się zasłonić przedwarzaniem. Nie zdoła się też jej zasłonić, gromadząc błędy, upadki i grzechy tego żywota; mimo wszystko są one tam epizodami, straszliwemi niekiedy jak burze. Ostatecznie jednak ponad nie wznosi się zawsze „rozumne, gromowładne czoło" na tęczy przymierza z Bogiem. Kto naprawdę chce pojąć Mickiewicza, „największy cud polskiego życia", musi ten rys jego istoty dostrzec, i zdać sobie z niego sprawę i uwydatnić. Bez tego — powtarzam—każda koncepcja jego, „bronzowa" czy „żywa", będzie w gruncie rzeczy martwa.

Mimo wszelkich przekąsów trzeba powtórzyć: Istotnie, w życiu duchowem Mickiewicza wszystko jest ładem, wszystko jest harmonją; tylko że harmonja to krwawo wydarta chaosowi rozdźwięków, a ład jest potęgi drugiej. Jeśli ktoś tego nie widzi, nie ukazuje, a widzi tylko nawał kłębiącego się żywiołu, tylko walkę, i rozdarcie, i rozdźwięki, ten—trzeba powiedzieć—nie pojmuje należycie Mickiewicza, a odtwarzając go nie odtwarza prawdziwie.

Z racji Przedmowy Boya roztrząsano pytanie, czy jest ona na miejscu w wydaniu ostatecznie popularnem, obliczonem na masy. Redaktor wydawnictwa, prof. M. Kridl, bez wahania twierdzi, że tak. W umieszczeniu jej widzi on nawet pociągnięcie, które wzmoże poczytność Mickiewicza, utoruje do niego drogę naszej inteligencji i pół inteligencji, dla Boya rzeczywiście łaskawej; w ten sposób kredyt ręczyciela — przedmówcy, podeprzeć ma nadwątlone finanse poety.

Przy całem uznaniu, jakie można mieć dla omówionego tu, istotnie niepospolitego studjum

[1]) Z tego punktu widzenia charakteryzował go już Ign. Chrzanowski (Zob. „Z epok romantyzmu").

Boya, trudno podzielić taki optymizm i taką pobłażliwość. Pomińmy nawet rozsiane po Przedmowie, doprawdy nie zawsze stosowne, dowcipy i anegdoty, zasłońmy sobie nawet oczy na takie słówka, jak „Rasputin“ i „bolszewik“, które w Przedmowie z lekkiem sercem umieszczano w najbliższem sąsiedztwie z Mickiewiczem, a które Bóg wie od czego mogą rozgrzeszyć, zostańmy tylko przy tem jednem: Wizerunek Mickiewicza, dany na czele popularnego wydania jego dzieł, jest wadliwy: paczy, i to w punkcie najistotniejszym, duchowy kształt naszego największego poety, jak pięknie się wyraził Boy: „największego cudu, jakiego kiedy było świadkiem polskie życie". Czyż więc rzeczywiście należało go tam właśnie umieszczać?

4. Wszystko to, co Boy napisał po Przedmowie i poniekąd w związku z nią, a co wypełnia dzisiaj tom p. t. „Bronzownicy“ [2]), — nie utrzymało się niestety w równej mierze jakości z Przedmową. Czyta się tę książkę z uczuciem zmieszanem. Z jednej strony imponować musi ta wspaniała pasja poznawcza, z jaką się autor wgryza w sprawy sobie dotąd nieznane, przebija się przez ogromną literaturę przedmiotu, jeździ, wertuje archiwa, trafia do informatorów prywatnych i t. p. Prawdziwie biały kruk w nieruchawej, rentjerskiej publicystyce polskiej. Z prawdziwem zadowoleniem też patrzeć przychodzi na majsterstwo roboty pisarskiej Boya: jak każdą kwestję, choćby trudną i nudną, umie udramatyzować, ożywić, przesiać błyskami dowcipu i zabójczego sarkazmu; istny wirtouz fejletonu.

Satysfakcja ta, natury — powiedzmy — artystycznej, nie jest wszelako w tym wypadku bez dysonansów. Feljetony znakomite na porcje, podawane co jakiś czas, tutaj, zebrane w książkę, nużą, drażnią tautologją. Autor przeorywa to samo pólko wprzód i wspak i jeszcze napoprzek, coraz to powraca do tych samych spraw, traduje raz jeszcze, co już był powiedział w Przedmowie i o czem tutaj parę kartek wstecz jużeśmy czytali. Takie żyłowanie tematu jest nawet pod piórem Boya trochę męczące.

Na treść książki składają się właściwie trzy sprawy: 1) proces o niszczenie dokumentów mickiewiczowskich, wytoczony głównie Wł. Mickiewiczowi, 2) sprawa Ksawery, wreszcie 3) „*advocatus diaboli*" przeciwko A. Towiańskiemu. Prócz tego przez cały ciąg przewija się 4) ostra partyzantka autora z „bronzownikami“, t. zn. dotychczasowymi biografami Mickiewicza. Treści tej przypatrzmy się pokolei na chłodno, krytycznie i bez egzageracji.

Sprawa przeciwko Wł. Mickiewiczowi, *actio in filium*, jest oczywiście też odpowiednio udramatyzowana, bodaj nawet czy nie przedramatyzowana. Rzeczywiście, Wł. Mickiewicz, gromadząc wytrwale i zapalczywie archiwalja mickiewiczowskie, to i owo ze spuścizny tej niszczył. To nie jest sekret; te drzwi stały otworem. Czytająca publiczność mogła się zorjentować w tem, co się tu święci, chociażby z (niewspomnianej przez Boya) publicznej dyskusji Wł. Mickiewicza z Fr. Rawitą Gawrońskim z racji papierów po Ludwice ze Śniadeckich - Czajkowskiej. To było wiadomo: niszczył. Nie rozumiem tylko, za co tu z tej racji ciągnąć na karb wszystkich „bronzowników“?

Zresztą i wypadek z Wł. Mickiewiczem nie jest taki straszny, jak go namalował Boy. Bo najpierw, poza prawem syna, (które i Boy uznaje z bólem serca), miał on tu prawo zwyczaju: tak robili wówczas wszyscy, a zapewne i dzisiaj nie jest inaczej. Wypadek z listami Słowackiego wspomniał sam Boy; pozatem proszę przejrzeć np. korespondencję Zaleskiego, a zwłaszcza listy Dionizji Poniatowskiej do Zaleskiego, wydane przez syna; ile tam oczyszczeń! Jak było z listami Krasińskiego, nie wiemy, bo i tu brak ich wydania krytycznego; a o listach do ojca i do Delfiny nie wiemy, kiedy i w jakiej formie je otrzymamy. Czyli że od cenzury pewnej nie była wolna spuścizna żadnego z wielkich naszych twórców. Jest to już — widać — zło, konieczne. Dla Wł. Mickiewicza możeby to mogło być okolicznością choć trochę łagodzącą, nie był on jakimś wyjątkowym przestępcą.

Zwłaszcza, że z tem jego niszczycielstwem — to potrosze przesada. Niewątpliwie usuwał on pilnie wszystko, co dotyczyło stosunków z Ksawerą. Chociaż i tutaj zachował granicę. Z przygotowanego przez siebie wydania korespondencji A. Mickiewicza usuwał imię Ksawery i zastępował je gwiazdkami; tu i ówdzie usuwał poszczególne zdania. Ale zachowane przez niego i pietystycznie przechowywane autografy listów prawie wszędzie pozwalają restytuować pełny tekst, co też zostało uczynione w krytycznem wydaniu korespondencji, które (w opracowaniu J. Czubka) od lat już czeka na druk. Wypomnienie, jakie Boy w tej materji zrobił „mickiewiczologom“, jest niesłuszne. Że zaś i pozatem Wł. Mickiewicz był w cenzurze swej bardzo liberalny, to też niewątpliwe. Wydał przecież „Współudział“ i „Legjon“ wówczas, kiedy — sam Boy to przyznaje — było to wzięte za zniewagę pamięci Ojca.

Zniszczył (jeżeli zniszczył) pamiętnik Zofji Szymanowskiej. Rzeczywiście szkoda nienagrodzona. Niewątpliwie pozwoliłby on nam wejrzeć bliżej w atmosferę otoczenia, w jakiem przyszło się Mickiewiczowi obracać u schyłku życia; nie jednego byśmy się też dowiedzieli z „dziejów domowych“ towianizmu. Przepadły relacje z wielu rozmów, prowadzonych z Mickiewiczem; nie poznamy już wyłuszczonych tam poglądów poety na niejedną ze spraw szerszego znaczenia. Na dobitkę zniszczenie pamiętnika na nic się nie zdało; wieść, która miała przepaść z nim razem, utrzymała się, brzmi dziś z megafonów. Kąkol się wysiał i wybujał, a snop pszenicy przepadł.

Szkoda się stała i z tego także powodu, że dopiero pełny tekst pamiętnika wydobyłby na jaw to, czego się dzisiaj zaledwie możemy domyślać. Wyjaśniłoby się mianowicie niewątpliwie, z jakich to np. pobudek Szymanowska, sama z ojca żydówka, informowała Lenartowicza, „jak to wiemy od Boya“, o rzekomem żydostwie Ksawery, wiedząc chyba dobrze, ile w tem prawdy. Wspomina gdzieś Boy, że nie byłby pewien psychoanalizy Mickiewicza z okresu towianizmu. Przeczytawszy uważnie zachowaną część pamiętnika Zofji Szymanowskiej, zwłaszcza tak niesłychanie zastanawiający urywek z opisem „zaręczyn“ jej z Mickiewiczem, tudzież relacje z jej snów, przyzna chyba każdy, że znacznie, ale to znacznie mniej możnaby być pewnym psychoanalizy pamiętnikarki. Nieszczęsne zatracenie najcenniejszej części pamiętnika nie pozwoli rozwiązać dostatecznie tej zagadki; stopnia wiarygodności, na jakim się utrzymała pamiętnikarka, już nie ustalimy.

(d. c. n.) STANISŁAW PIGOŃ

[2]) Boy-Żeleński: „Bronzownicy“. Warszawa, Rój. 1930.

NA WIDOWNI

O nowe spojrzenie na życie i poezję. — Nie czas na mistycyzm. — Trzeba umieć gospodarować na Parnasie. — Czy naród ma uczyć się żyć na emigracji?—O dokładniejszą metodę w historji literatury. — Kult życia źródłem poezji.

Z POWODU uwag, na które sobie pozwoliłem w tem miejscu w nr. 13 „Myśli Narodowej" w sprawie użytku, jaki nasi wychowawcy robią w szkołach z poezji, otrzymałem parę listów w obronie polonistyki galicyjskiej przedwojennej.

Rozumiem szlachetne pobudki, przyznałem, że nauka patrjotyzmu w oparciu o poezję romantyczną miała swoje dobre strony: w upadku, w jakim byliśmy, nawet patrjotyzm uczuciowo-poetycki miał swoją cenę. Ale gdy w wychowaniu normalnem szkoła stawia sobie zadanie gruntowania w młodzieży patrjotyzmu czynnego, to przecież nie może odwoływać się do martyrologicznej psychologji emigracyjnej. Okres, który przeżywamy po odzyskaniu niepodległości, wymaga wielkiego skupienia uwagi na zadania naszej pracy. Przyszła wreszcie chwila, że możemy coś zrobić z Polski, aby była czemś trwałem i dobrem, ale czemś r z e c z y w i s t e m.

Zupełnie więc nie na czasie są wzory z czasów, gdy poeci na emigracji, oddając się rozpaczy, w drodze widzeń mistycznych rozwiązywali zagadnienia przyszłości Polski. Śmiejemy się, gdy jakiś filut panegirysta napisze broszurę w celu udowodnienia, że Mickiewicz myślał o Piłsudskim w widzeniu ks. Piotra. Ale do takich konceptów upoważniają wykłady choćby ś. p. Kallenbacha, robiącego z poezji mesjanicznej rodzaj sennika egipskiego na użytek czasów przyszłych. Takich polonistów popularyzatorów miałem na myśli, przedewszystkiem w szkołach galicyjskich. Światli badacze literatury romantycznej, jak Ignacy Chrzanowski, nie mogą odmówić mi racji. Prof. Chrzanowski w rozprawie swojej „Romantyzm polski wobec konstytucji 3 maja" (1925) pisze:

„...Romantycy nasi w swoich poglądach na p r z e s z ł o ś ć Polski zatracili ostatecznie myśl państwową, która przyświecała twórcom Ustawy majowej... Zatracili myśl państwową w swoich poglądach na p r z y s z ł o ś ć.. I oto romantyzm—on, który zrazu w swoich pierwotnych źródłach był reakcją życia przeciwko skostniałej idei racjonalistycznej o życiu, — w swojej ostatecznej konsekwencji (albo powiedzmy szczerze: w swojej d e g e n e r a c j i) o d e r w a ł s i ę o d ż y c i a, zatracił patrjotyczną myśl państwową, przenosząc ją z dziedziny myślenia politycznego w sferę marzeń moralno-religijnych..." (28 i n.)

O to właśnie chodzi. Jeżeli stwierdzimy, że poeta odwrócił się od życia, to nie mamy prawa wymagać od tego życia, żeby swój bieg za poetą odwracało. Społeczeństwo, które spokojnie patrzy na improwizowanie polityki według sztubackich pomysłów lub według planu, podsuwanego przez wrogów (radosna bowiem twórczość jest wolna i dowolna, a im romantyczniej się motywuje, tem jest ładniejsza), społeczeństwo, które pozwala na odpowiednie komponowanie ideałów wychowawczych, choćby samobójczych dla narodu, aby tylko były poetyckie, takie społeczeństwo — łatwo sobie wyobrazić — musi mieć barbarzyński pogląd na literaturę. Będzie ono robić z niej zły użytek i to podwójny: z jednej strony (faktycznie) będzie ją brać „pod placki", a z drugiej (ideowo) będzie ją traktować jako coś oderwanego od życia. Owszem — im bardziej się odrywa, tem prawdziwsza jej niebiańskość posłannictwa i bardziej cudotwórcze dla życia znaczenie. Literatura pełni wtedy rolę kabały i zamawiania i w tym charakterze staje się narzędziem dyletantyzmu lub oszustwa politycznego.

Przyszedł czas na dawanie rzeczom nie mistycznej, lecz życiowej perspektywy. To co nazywamy życiem, powinno być linją orjentacyjną dla wszystkich dziedzin pracy myślowej — zarówno politycznej, jak literackiej, czy też naukowej.

Zaszedł błąd optyczny w poglądzie na linję rozwojową naszej literatury XIX wieku. Skłonni do traktowania literatury, jako czegoś użytkowego dla życia, mającego jednak swój byt osobny, niejako pozaziemski, w wyjątkowem zjawisku poezji emigracyjnej widzieliśmy bez załamania dalszy ciąg literatury krajowej. To był błąd. Bo nie można zestawiać okresów na różnych płaszczyznach, nie pozwalających na przeprowadzenie porównania. Jeżeli łączymy historję literatury i kultury, to do czterech wieków twórczości krajowej nie można jednym tchem dopowiadać literatury emigracyjnej, zapominając o tem, że jednocześnie z emigracyjną rozwija się w kraju literatura przyziemna, która przetrwa czas niewoli i złączy się normalnie z literaturą odzyskanej po wojnie niepodległej Polski, pozostawiając mesjaniczną poza nawiasem.

Historycy literatury poszli oczami za poezją, która się z ziemi porwała i zginęła w obłokach. Zjawisko efektowne i wielkiej wartości, ale nie zwalnia od naukowego traktowania praw przyrodzonych życia duchowego. Był taki wypadek niedawno, że huragan zdarł gdzieś z ziemi stepowej warstwę gleby, uniósł tak wysoko, że szary proch dłuższy czas błąkał się w przestworzach, a potem spadł gdzieś daleko w postaci złotego deszczu. To samo się zdarzyło po r. 1831 — sto lat temu. — Mocno uskrzydlone pokolenie romantyków oderwało się podczas katastrofy, uchodząc na emigrację. Paru z nich, genjalnych a bardzo wrażliwych na współżycie z ziemią ojczystą, — gdy jej nie stało, wzbiwszy się wysoko, utraciło przyciąganie do ziemi i znalazło dla siebie mistyczne utwierdzenie u nieba. Później dopiero — później — (właśnie wtedy, kiedy historycy literatury wzięli się na dobre do badania tego zjawiska) zaczął deszcz stamtąd padać na literaturę w kraju i wpływ na nią wywierać (Wyspiański), ale naogół literatura w kraju rozwijała się niezależnie, według starych praw umysłu polskiego, zawsze realnego, współpracującego z życiem.

Chodzi więc o to, iż polonista, posuwający swój pogląd na związek literatury z życiem tak daleko, że oddaje poezji wodze polityczne narodu, powinien spostrzec, iż psychologja banicji nie może być brana za jedno z psychologją współżycia.

Podział na literaturę krajową i emigracyjną dokonywa się sam bynajmniej nie na podstawie geografji; jest to znacznie głębszy i bardziej zasadniczy podział — p s y c h o l o g i c z n y. Poezja tamta wypływała z tragedji, jaka się stała udziałem narodu, a przez to i ich, poetów, którzy jaźń jego w sobie hodowali. Gdzie tej tragedji nie było w podstawie rozłąki z krajem, tam się nie mówi o psychologji emigracyjnej. Można pisać poza krajem, a nie należeć do tej tragicznej rodziny. Określenie „poezja emigracyjna" powinno mieć swoje ścisłe naukowe znaczenie, tego samego rodzaju, jak po-

jęcie „poezji romantycznej“, która ma przecież swoje ścisłe daty i cechy.

Z zaniedbania naukowego pochodzi błąd życiowy — wychowawczy i polityczny. Nie wolno psychologji tragicznej emigracyjnej narzucać jako obowiązującej normalne życie w kraju. Poezja rozpaczy, symbolizująca się kijem pielgrzymim i znakiem grobu i likwidująca wszystko, co ziemskie, na rzecz wszechbytu, nie jest bynajmniej tą miarą rytmu życiowego, którą chcemy mierzyć literaturę normalnie. Ten spazm inną metodą musi być wykładany, a w żadnym razie nie wolno go podawać za program polityczny.

Daleko łatwiej byłoby wybaczyć podobne nieporozumienia w traktowaniu stosunku literatury do życia na terenie piśmiennictwa w trybie dziejowym normalnym, gdzie literatura jest duchowem współpracownictwem ze społecznością, gdyby więc nie umiano odróżnić, co jest sztuką a co życiem (publicystyką), gdy mowa o Krasickim, Kraszewskim, Prusie, Żeromskim; ale w stosunku do romantyzmu emigracyjnego, odwróconego od życia, błąd ten ma w sobie za dużo wulgarności przez to, że wypływa z braku rozumienia zarówno rzeczywistości, jak i wielkiej poezji.

Istnieje związek życia z poezją przez wspólną glebę, więc można wiele zjawisk w poezji wyjaśnić wpływem środowiska; życie środowiska staje się jaśniejsze od prześwietlonej duszy genjalnego człowieka, ale stąd daleko do przewodnictwa w sprawach praktycznych, nie mających związku z inspiracją poetycką. Wartość wielkiej sztuki nie leży na drodze użyteczności. Źle jest w kulturze i bardzo ubogo, gdy te dwie rzeczy, użyteczność i wartość, plączemy .Ci, którzy z entuzjazmu dla wielkiego poety robią z niego wodza w sprawach dzisiejszych, kompromitują go, bo przecież nie potrafią uświęcić jego nazwiskiem rzeczy złych; życie raczej uzna go za złego poetę.

Najgłębszym kultem poezji jest kult życia. Bo tylko w atmosferze tego kultu rodzą się wielkie indywidualności, a wśród nich wielcy poeci. Odwrotnie do niczego nie dojdziemy: ani do wielkiego życia, ani do wielkiej poezji. Gdyby przez wychowanie udało się ze wszystkich ludzi zrobić poetów, życieby skarlało.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

JAK ZAGARNIA SIĘ PAŃSTWA

ZBROJNE walki państw i narodów są w historji zjawiskami sporadycznemi, ale walka polityczna toczy się między państwami nieustannie, nawet w czasie pokoju. W związku z tą walką, każde państwo stara się ugruntować swe wpływy w innych. W jednych, bo szuka z niemi przymierza, w drugich, bo z niemi walczy i stara się je opanować, aby w ewentualnej konsekwencji takiego opanowania nawet zagarnąć je częściowo, lub w całości.

Okrojenie lub zagarnięcie obcego państwa bez walki zbrojnej należy w każdym razie do zdarzeń rzadkich. Wymaga to uprzedniego zapewnienia sobie współdziałania innych państw, a co najmniej ich neutralności, albo wywołania jakichś powikłań, któreby je zaabsorbowały i unieruchomiły. Wymaga to jednem słowem całej sieci intryg politycznych na terenie międzynarodowym, niełatwych do przeprowadzenia. Przedewszystkiem zaś należy dla takiej imprezy mocno i głęboko ugruntować swoje wpływy na terenie państwa upatrzonego na zdobycz. A więc opanować w niem umiejętnie czynniki miarodajne, spaczyć, o ile to możliwe, opinję społeczną podstępem, suggestją, wyzyskaniem słabości jednych, ciemnoty drugich, świadomej lub nieświadomej zbrodniczości innych, wytworzyć podatny grunt i sprzyjające sobie warunki przez moralne zatrucie atmosfery, pognębienie materjalne, stłumienie wrażliwości myśli i sumień, a ludzi zdatnych do przeprowadzenia tego wszystkiego wyszukać tam na miejscu.

Niemcy, jak wiemy z własnego doświadczenia historycznego, są mistrzami w tej procedurze. Uprawianie jej niejednokrotnie udawało im się w epoce panowania absolutyzmu politycznego czy to jednostek, czy pewnych grup społecznych.

Absolutyzm władzy monarchy, czy dyktatora, może wprawdzie być w niejednym wypadku skuteczną obroną przeciw obcym, podstępnym intrygom i szkodliwym wpływom, może uratować naród i państwo w chwilach niebezpieczeństw, ale tylko dzięki osobistym zaletom i cnotom dyktatora, jak to w naszych już oczach stało się w Italji. Dodatnia strona absolutyzmu zależna jest więc od typu osoby, często jest dziełem szczęśliwego przypadku, a bynajmniej nie koniecznym wynikiem systemu.

Z drugiej strony absolutyzm może być niebezpieczny, jeżeli stwarza pole dla kamaryli, moralnie zawsze zgangrenowanej, a tem samem podatnej również dla wpływów obcych. A bywa i tak, że dyktatorskie rządy powstają już jako wynik obcych wpływów uprzednich, które zawczasu przychylną sobie kamarylę wyhodowały.

Im silniej i dalej wpływy obce w jakiemś państwie są posunięte, tem bardziej i tem wyraźniej ich ekspozyturą staje się taka dyktatura. W Polsce za ostatnich lat panowania Stanisława Augusta rządy i władza, acz przez Polaków sprawowane, stanowiły już tak dalece ekspozyturę obcą, w części pruską, a w części moskiewską, że była ona zupełnie wyraźną i nawet niezamaskowaną dla współczesnych, wtedy jednak już za słabych, ażeby się jej skutecznie przeciwstawić. Tej obcej ekspozytury pod postacią dyktatorskich rządów magnackiej kamaryli nie dostrzegli jednak współcześni znacznie wcześniej i dopiero z oddalenia historycznego spostrzeżono jej istnienie już za pierwszego Sasa, a nad wytworzeniem jej pracowały jeszcze wcześniejsze elekcje.

Znakomitym probierzem do stwierdzenia, czy dyktatura jest wynikiem własnej samoobrony narodu, osiągniętym choćby drogą zamachu, jak dyktatura Mussoliniego, czy też jest ekspozyturą obcą, staje się stosunek rządu do ścierających się w państwie nacjonalizmów. Republikańskie rządy parlamentarne grzeszą niekiedy zbyt daleko posuniętem uprzywilejowaniem obcych nacjonalizmów i wyznań, wypływającem w znacznej mierze z samej ideologji demokratyczno - liberalnej, w tym systemie ustrojowym urzeczywistnianej. W pełni więc warunków parlamentarnych stosunek rządu do różnych nacjonalizmów, występujących w życiu państwowem nie jest może tak niezawodnym probierzem zależności od obcych wpływów, jak się nim staje właśnie w warunkach absolutyzmu i dyktatury.

Jest rzeczą wprost nie do pomyślenia, aby naprzykład dyktator Włoch nietylko nie popierał nacjonalizmu italskiego, ale go jeszcze zwalczał, nie do pomyślenia, aby jakiś Bismark, lub Hohenzollern (obaj niemal dyktatorzy) zwalczali nacjonalizm niemiecki, by Mikołaj I czy Aleksander III Romanow zwalczali nacjonalizm rosyjski. Każdy rząd, a zwłaszcza absolutystyczny, dyktatorski, któryby z nacjonalizmem własnego narodu walczył, byłby paradoksem. Jeśliby zaś jeszcze na domiar nacjonalizmy obce przeciw niemu popierał, to oblicze obcej ekspozytury ukazałby już tak wyraźnie, jak ongi w Polsce ukazała je dyktatura Targowicy.

Tylko obce danemu narodowi rządy, choćby i z niego, ale obcemi wpływami wyłonione, mogą być nacjonalizmowi tego narodu wrogie. I tem właśnie obcość swego źródła zdradzają. Mogą one wtedy być ekspozyturą jakiegoś innego ściśle określonego państwa, jakiejś, jak ongi, „imperatorowej, naszej wspaniałomyślnej aljantki“, albo ekspozyturą jakiegoś mocarstwa anonimowego, międzynarodowego, jakiejś przyszłej Paneuropy. Dla narodów nie najliczniejszych i nie najsilniejszych ekonomicznie wychodzi to wszakże na jedno. Stałyby się one bowiem w owej masońskiej Paneuropie jedynie strawą dla państwa w niej najsilniejszego, którego nacjonalizmu masonerja faktycznie bynajmiej nie zwalcza i niewątpliwie zgodzi się na to, aby w danej chwili swój pochód ku stworzeniu Paneuropy wstrzymać tuż za progiem... Mitteleuropy.

W ten sposób więc historycy i politycy znaleźć mogą wskazanie, jakim probierzem należy sprawdzać, czy dyktatury i rządy różnych państw w rozmaitych epokach były lub są rządami własnemi, czy ekspozyturą obcą.

INTUITUS

WYCHOWANIE NARODOWE

SZKOLENIE OBYWATELI

MAMY trzy, a raczej cztery główne typy umysłowości inteligenckiej, wyniesionej ze szkół średnich i wyższych pruskich, austrjackich i rosyjskich, przyczem inaczej przedstawia się umysłowość, wykształcona w Kongresówce, a inaczej w t. zw. „gubernjach zabranych“. Mimo więc wspólnego języka i ewentualnie wspólnego patrjotyzmu, dzisiejsze pokolenie polskie składa się z trzech, albo raczej czterech typów, czy jakby ktoś powiedział plemion.

Jeżeli rozróżniam dwa typy główne między Polakami z dawnego zaboru rosyjskiego, mam do tego ważne powody. Polak z Kresów to psychicznie ziemianin, bogaty lub zubożały, wszystko jedno. Ziemianin ten różni się od reszty mieszkańców językiem, religją, często narodowością. Przy najlepszej więc woli, choćby był aniołem lub ciasnym doktrynerem demokratyzmu, nie może mieć umysłu, nastawionego na współpracę sąsiedzką z otoczeniem.

Jeżeli inteligent ziemianin w Kongresówce znajduje wspólny język i wspólny ideał z inteligentem pochodzenia ludowego, to na Kresach taka wspólnota jest niemożliwa. Zostaje zatem Polak inteligent na Kresach indywidualnością, której trudno zrosnąć się z otoczeniem.

Wszystkie próby zmiany tego położenia są dotąd bezskuteczne. Jedni ulegają duchowi demokratycznemu, próbują współpracy z otoczeniem, ale te próby są raczej szkodliwe niż pożyteczne. Albo to będzie chłopomaństwo, będące tylko obłudną odmianą „pańskości“, albo tworzenie nowych narodowości np. Białorusina, co już graniczy z zaprzaństwem narodowem.

Niemniej jednak i inteligenci z innych zaborów nie mają wspólnych wyobrażeń, ani nawet wspólnego języka. Pod znane i oklepane wyrazy każdy podkłada inne znaczenie. Weźmy wyraz: wolność. Poznańczyk rozumie przez to polskich urzędników, polski rząd, polską prasę i t. d. Galicjanin wolność zgromadzeń, załatwiania kolegjalne spraw publicznych w radach, sejmach i t. d., oraz wolność krytyki; Kongresowiak brak szpiegów, donosicieli i grzywien; Kresowiak samowolę bezkarną. Weźmy wyraz: praworządność. Poznańczyk widzi w tem świętość ustawy, której słuchają wszyscy; Galicjanin zgodność postępowania z głoszonemi hasłami u przedstawicieli władzy; Kongresowiak prawo jedno dla wszystkich, z wyjątkiem niego jednego, gdyby mu to było niewygodne, Kresowiak ślepe posłuszeństwo względem zachceń czy nakazów władzy. Wyraz inteligencja w Poznaniu oznacza kupców, przemysłowców, właścicieli realności miejskich i t. d.; w Galicji ludzi, posiadających wykształcenie uniwersyteckie i żyjących z pensji; w Kongresówce ziemian, adwokatów, notarjuszy i wyższych urzędników; na Kresach przeważnie obszarników. Silny rząd znaczy w Poznaniu rząd, który przeprowadza ustawy równe dla wszystkich, bez względu na ich majątek, znaczenie i wpływy; w Galicji rząd, który, unikając skandalu, przeprowadza nie ustawy, lecz swoją wolę, ubierając ją w atrybuty prawne; w Kongresówce rząd, który robi, co mu się podoba, a na Kresach rząd, którego przedstawiciele mogą bezkarnie robić nadużycia i dopuszczać się samowoli.

I tak na każdym kroku. Być może, iż byłoby u nas mniej stronnictw i kłótni, gdyby każdy wyraz, używany w polityce, wyjaśniano tak ściśle i dokładnie, iżby nikt nie mógł podkładać pod niego swojego niejasnego wyobrażenia, tylko rozumiał go tak, jak go rozumiał wygłaszający.

Jeżeli teraz tak nie jest, to należy się starać o to, żeby tak było w przyszłości. Inteligencję wytwarza szkoła, a więc szkoła powinna być tak urządzona i prowadzona, żeby na całej przestrzeni państwa młodzież w miarę zdobycia nowych wyrazów i terminów technicznych, zyskiwała wszędzie te same wyobrażenia i pojęcia, objęte zdobytym wyrazem.

Już z tego założenia wynika, że na początek przynajmniej przez jakich lat 30 szkoła średnia w Polsce powinna być jedna. Uważam, że dla skonsolidowania polskiej umysłowości wprowadzenie czterech typów szkoły średniej, ogólno kształcącej jest bardzo szkodliwe. Nietylko nie usuwa różnic, zawsze ujemnych, wytworzonych przez rozbiory, ale je pogłębia i różniczkuje. Przy tego rodzaju szkołach nie staniemy się nigdy jednym narodem i nigdy ludności pochodzenia niepolskiego nie przywiążemy do państwa. O szkodliwości tych typów szkoły z punktu widzenia praktycznego rodziców i uczniów już pisałem niegdyś. Teraz przychodzi mi tylko dodać, że uważam to różniczkowanie za szkodliwe z punktu widzenia narodowego, państwowego i duchowego. Powinniśmy przedewszystkiem postarać się o zatarcie różnic, wytworzonych przez rozbiory, a na pierwszem miej-

scu powinniśmy nauczyć jednego języka i jednego rozumienia tego języka.

Jeżeli chodzi o rodzaj tej jednej szkoły średniej, powinna to być szkoła mocno humanistyczna, a nawet wprost klasyczna. Tylko bowiem na starożytności grecko-rzymskiej można wychować prawdziwych obywateli. A przecież celem szkoły jest chyba kształcenie obywateli państwa. Gdyby ktoś odrzucił ten cel, to należałoby uznać za niedorzeczność utrzymywanie szkół przez państwo. Po co tyle wydatków, skoro się nie pragnie wychować młodzieży na obywateli, pożytecznych państwu!

Celem szkoły jest wychowanie przyszłych obywateli. W Polsce niema pojęcia obywatela i należy je dopiero wytworzyć przez szkołę. Wskutek tego szkoła powinna być jedna i posiadać jeden ideał prawdziwego obywatela.

U nas, gdzie wyrazy w różnych okolicach i w różnych ustach mają odmienne znaczenia, może ktoś zarzucić, że nakręcanie dusz do jednego szablonu zabije rozmaitość typów i zdusi polskie silne charaktery. Byłoby to nieporozumienie. Kościół katolicki ma jeden wspólny, ogromnie ściśle określony typ chrześcijanina katolika, a ileż odmian w tym ideale porobiły rozmaite narody, nie utracając ani jednego szczegółu ze ścisłych nakazów i definicyj Kościoła. Katolik Włoch, Francuz, Niemiec, Anglik, Węgier, Polak, Amerykanin i t. d. przecież to są wręcz odmienne gatunki, a równocześnie wszyscy wiedzą, wyznają, mają przed oczyma jeden jedyny wzór, jednako określony i jednako rozumiany. Trzeba mieć jedne, wspólne wyobrażenia o prawach, obowiązkach i postępowaniu prawego obywatela, a działać tam, gdzie człowieka los postawi i w miarę sił własnych z jednym ideałem przed oczyma. Tylko starożytni wytworzyli takie pojęcie prawego obywatela, zilustrowali legendami, wprowadzali w życie przez wielkich swoich ludzi i opracowali historycznie, praktycznie i filozoficznie. Do takich trzeba iść na naukę. Neposa i Plutarcha należy wprowadzić do tych szkół i uzupełnić polskim Plutarchem na wzór dzieła Krasickiego i innych współpracowników Komisji Edukacyjnej.

JAN ZAMORSKI

W dyskusji na ten ważny temat nie powinno brakować opinji tak cenionego wychowawcy, publicysty i działacza, jak Jan Zamorski. Oczywiście niejeden punkt zarówno w jego charakterystyce stanu faktycznego, jak i w postulatach może być uznany za sporny. Ale sprawa wymaga wszechstronnego oświetlenia.

Red.

NAUKA I LITERATURA

O CHESTERTONIE I „MAGJI"

Z NIEKŁAMANEM zadowoleniem przeczytałem w „Wiadomościach Literackich" artykuł p. Borowego, biorącego w obronę Chestertona przed ordynarnemi napaściami pp. Winawera i Słonimskiego i mgłami nieporozumienia p. Skiwskiego. Do wyrażonych przez zasłużonego autora monografji o Chestertonie myśli chciałbym dorzucić parę uwag, które może zwrócą uwagę na centralne zagadnienie „Magji".

Dla pp. Winawera i Słonimskiego istotą „Magji" jest jej *anti-scientyfizm*, szyderstwo z wiedzy. Jest to bardzo grube nieporozumienie. Pozorna niechęć do nauki jest spojrzeniem tylko negatywnem „Magji", tak samo jak stanowiskiem negatywnem kantyzmu jest „Krytyka czystego rozumu", tak samo, jak kartezjanizmu—„Pierwsza medytacja", wyrażająca zupełnie sceptyczny punkt widzenia. Lecz jak Kant—to coś dalako więcej niż „Krytyka czystego rozumu", jak Descartes—to coś daleko więcej niż „Pierwsza medytacja", tak samo Chesterton—to coś daleko więcej, niż „Persiflaż z wiedzy".

Na zarzuty pp. Winawera i Słonimskiego Chesterton mógłby odpowiedzieć słowami Kanta, z przedmowy do drugiego wydania „Krytyki". Chciałem usunąć fałszywą wiedzę, by uczynić miejsce dla rozumnej wiary.

Istotnie, nie spostrzegłem w „Magji" żadnego szyderstwa z wiedzy głębokiej, rzetelnej i prawdziwej, z wiedzy świadomej swych granic i umiejącej korzyć się wobec Niepoznawalnego, nie dostrzegłem żadnego szyderstwa z głębokiej wiedzy Newtonów, Pasteurów i Spencerów. Co jest w „Magji" smagane, to wiedza nadęta i pusta, wiedza Morrisów Carleonów i... Brunonów Winawerów, tak daleka od prawdziwej wiedzy, jak Morris Carleon od Newtona. Dla tych „scientystów" z pod godła Morrisa wszelka cudowność, wszelka nadnaturalność oczywiście będzie tylko „kuglarstwem".

Stanowiskiem pozytywnem „Magji" jest stwierdzenie rzeczywistości transcendentnego świata duchowego, świata duchowego, przenikającego i kształtującego nasz świat fizyczny. To istnienie świata duchowego jest dla Chestertona faktem zupełnie prostym, faktem naszego wewnętrznego doświadczenia, faktem wiary moralnej; wszelkie próby „naukowego objaśnienia" tego świata są zgóry skazane na niepowodzenie, gdyż nie można stosować metod i sposobów badania, zaczerpniętych z fizyki, do tego, co jest nad fizyczne. „Cud objaśnić jest daleko trudniej, niż cudu dokonać", odpowiada Chesterton ustami Nieznajomego na „naukowe" zarzuty Morrisa i d-ra Grimthorpe'a.

Filozofja ma swój własny punkt widzenia, nie dający się sprowadzić do punktu widzenia nauk przyrodniczych—to chciał powiedzieć Chesterton. Ten punkt widzenia nie jest tylko dla wybranych, lecz dla wszystkich, których serce jest otwarte dla wiary: jest to punkt widzenia Miłości. Ona wprowadza nas do tego wyższego, transcendentnego świata[1]). Świat ten jest zamknięty dla Morrisów, dla książąt Carleonów, dla doktorów Grimthorpe'ów i... Brunonów Winawerów, lecz nie dla świeżego, kochającego serca Patrycji. Jej serce (*C'est le coeur qui juge des principes* — jak mówi Pascal) znajduje w tym świecie tę „jedyną prawdę", której „nikt nie osiągnie w krainie ludzi żyjących", a z prawdą—szczęście, energję i ufność.

Wiara i otwarte serce dają nam szczęście i pogodę ducha we wszelkich okolicznościach, a scientyzm morrisowskiego typu, scientyzm ateizmu prowadzić może tylko do załamania się i obłędu we wszystkich ważniejszych konfliktach życiowych. Chesterton zna dobrze z własnego doświadczenia te stany zwątpienia i rozpaczy, które przeszli św. Augustyn, Descartes[2]) Huysmans, Brunetière, te stany, które znalazły taki świetny wyraz w poezjach Rimbauda. Od popadnięcia w otchłań obłędu i zwątpienia ocaliła ich tylko wiara, wiara, której podstawą jest intuicja świata duchowego.

Oto centralny problem „Magji", oto *Credo* życiowe Chestertona.

Nawiasowo Chesterton dotknął w „Magji" problemu zachowania się lekarza względem chorego. Prawdziwy lekarz winien być lekarzem nie tylko ciała, lecz przede-

---

[1]) Nie sposób powstrzymać się tu od zwrócenia uwagi na analogje między Chestertonem i Pascalem; studjum porównawcze o nich byłoby bardzo wdzięcznym tematem. Pod odmiennością form ekspresji ta sama treść ideowa.

[2]) W artykule „Intuicja twórcza filozofji Kartezjusza", który ukaże się w najbliższym numerze „Przegl. Filozoficznego", starałem się zwrócić uwagę na mistyczne, inspiratywne źródło tej pozornie racjonalistycznej filozofji, wywodząc ją z głębokich przeżyć wewnętrznych Kartezjusza.

wszystkiem duszy; winien starać się przeniknąć przez zewnętrzną, cielesną powłokę do najgłębszych pokładów ludzkiego jestestwa. Inaczej kuglarz i znachor dokonają tego, czego on dokonać nie potrafił. U podstawy prawdziwej wiedzy leżeć musi niezłomna wiara w człowieka i jego duchowe na ziemi posłannictwo, wyrażające się w zrealizowaniu pewnych transcedentnych celów. Wielbiciel umysłowości francuskiej, Chesterton stoi na tej samej płaszczyźnie, na której stali Maine de Biran, Ravaison i Lachelier.

ST. CZAJKOWSKI

Z ŻYCIA NAUKOWEGO I LITERACKIEGO

Zapowiedziany przez nas odczyt senatora Władysława Jabłonowskiego w Warszawie w oznaczonym terminie nie odbędzie się. Senator Jabłonowski, na zaproszenie Obozu młodych, wygłosił ten odczyt „O człowieku zewnętrznym naszej epoki" w Przemyślu.

*

Nagroda literacka m. Warszawy za r. 1930 w kwocie 15.000 zł. dostała się Władysławowi Orkanowi, znakomitemu poecie, autorowi powieści „W Roztokach". Ostatniem jego dziełem były dwa tomy „Listów ze wsi". Nagroda trafna, ze wszech miar zasłużona.

RUCH WYDAWNICZY

Ignacy Chrzanowski wydał osobno w Krakowie piękną rozprawę, napisaną jeszcze w czasie wojny (1915), „Czem był Wirgiljusz dla Polaków po utracie niepodległości". Zaznaczył w ten sposób udział Polski w obchodzie jubileuszu Wirgiljusza. Cały świat, zwłaszcza należący do cywilizacji łacińskiej, obchodzi w tym roku dwutysięczną rocznicę urodzin autora „Georgik" i „Eneidy". Chrzanowski kończy wykład: „Wspaniały wiersz Wirgiljusza

Tantae molis erat Romanam condere gentem

w niejednej polskiej duszy może oddźwięknąć słowami: Takim to ogromem trudów stanęła nowa Polska".

*

„Ruch literacki" za marzec zamieszcza rozprawki o Wyspiańskim (Dürr), Słowackiego Żmii (Życzyński), Rzewuskim H. (S. Małachowski i A. Czartkowski). St. Pigoń daje rewelacyjne szczegóły o synu A. Malczewskiego. Materjały, recenzje i doskonała bibljografja literacka uzupełniają zeszyt.

*

„Pamiętnik Warszawski", dotąd kwartalnik, po ustąpieniu z redakcji Berenta, zaczął wychodzić jako miesięcznik pod redakcją L. H. Morstina i J. Parandowskiego. Pierwszy zeszyt pod tą redakcją (kwiecień) ma charakter już wyłącznie literacki. Adam Żółtowski dał tutaj bardzo ciekawą charakterystykę Z. Krasińskiego na podstawie jego listów — z powodu zamierzonego wydania listów jego do Delfiny Potockiej. Parandowski zamieścił w przekładzie z franc. nowelę „Olga", podając ją za utwór Fr. Chopina. Znawca literatury szopenowskiej biograficznej, Binental, sprostował błąd w „Kur. Warsz." Autorem noweli jest inny Chopin. Fryderyk nie pisywał żadnych utworów literackich.

*

Przychodzi widocznie w historji literatury kolej na Sienkiewicza. W ostatnim zeszycie „Pamiętnika Literackiego" interesujące zestawienie robi Jan Harhala: „Sienkiewicz i Puszkin". Jednocześnie w kwietniowym zeszycie „Przeglądu Powszechnego" znajdujemy obszerną rozprawę Zygm. Falkowskiego „Sienkiewicz a Szekspir".

*

Zeszyt pierwszy tomu 27 (za r. 1930) „Pamiętnika Literackiego" zawiera szereg cennych prac, dostarczonych przeważnie przez młodszych pracowników na niwie historji literatury. Do takich należą Zofji Bessażanki rozprawa o poezji ludowej Lenartowicza i Konopnickiej i Janiny Budkowskiej o rytmice C. Norwida. Z recenzyj w tym zeszycie, jedna bardzo pracowita poświęcona jest pracom o Norwidzie. Autorem jest K. Borowy. Zeszyt bogaty i interesujący.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

„La Fiancée imaginaire" (Calman-Lévy édit.) jest powieścią niezmiernie romantyczną, w której cały szereg scen oddała autorka z dużym talentem. Bohaterką książki pani Mary Floran jest młoda dziewczyna, Paule Delfeuille, mieszkanka Ville-Abbé. Wojna jednak ciężko dotknęła to miasto, gdyż większość jej młodzieży poległa na placu boju. Jeżeli jednak towarzyszki Paule wyszły wszystkie za mąż, to ta ostatnia nie znalazła męża, jakkolwiek nie brak jej uroku i inteligencji. Młoda dziewczyna cierpi z tego powodu i razu pewnego, asystując właśnie na ślubie swej znajomej, insynuuje, że wojna właśnie zabrała jej narzeczonego. Wiadomość ta wywołuje ogólne zaciekawienie. Po pewnym czasie wszyscy dochodzą do przekonania, że owym narzeczonym musiał być Jean d'Alte. Paule nie przeczy tym przypuszczeniom. Kiedy zaś dowiaduje się o tem sama baronowa d'Alte, która od śmierci syna pocieszyć się nie może, wzywa do siebie młodą dziewczynę. Ta w istocie robi co może, żeby ból matki ukoić, ale równocześnie z przerażeniem formalnem konstatuje niespodziewane konsekwencje swego niewinnego kłamstwa, gdyż czytelnik zgaduje, że Jean nigdy jej narzeczonym nie był. Traf, a powiedzmy romantyczność autorki, sprawia, iż nie został on zabity, ale zrobiony jeńcem przez Niemców. Ponieważ zaś chciał uciec, więc z tego powodu został skazany na długie więzienie. Kiedy po traktacie pokojowym powróci do domu, dowiaduje się z niemałem zdziwieniem, że ma narzeczoną. Jean buntuje się naprzód, ale zwyciężony powabem młodej dziewczyny staje się jej istotnym narzeczonym.

*

„La Passion d'Antoine Carmel" (Lettres Françaises) jest pierwszą książką p. Marcel Nalpas. Antoine w swojej młodości padł ofiarą przewrotnej dziewczyny, imieniem Odile, która w chwili, kiedy ma zostać matką, wymoże na nim poślubienie jej, ale natychmiast po cywilnym ślubie ucieka. Antoine, po kryzysie rozpaczy, staje się w kilka lat potem księdzem. Wówczas to poznaje Geneviève, która pod pretekstem ciężkiej rozterki moralnej, prosi go o pomoc, o kierunek, a wreszcie kompromituje zupełnie. Nie dosyć na tem: Dowiaduje się on także, iż Geneviève jest córką Odile, ale na szczęście nie jego. Po tych dramatycznych przejściach, Antoine opuszcza Europę i umiera jako pokutnik w Afryce. Należy przyznać, że autor z dużą subtelnością przeprowadził drastyczne niezmiernie sceny oraz momenty duchowej walki. Można mu tylko zarzucić, że lubuje się w tematach trudnych i skomplikowanych sytuacjach, podczas kiedy często prostota uczuć może być bardziej wzruszającą.

SZTUKI PLASTYCZNE

Z ZACHĘTY

NOWYM wystawom w Zachęcie przoduje Wileńskie Towarzystwo Plastyków, które w tym roku obchodzi dziesięciolecie swojego istnienia. Ogólne wrażenie z wystawy tego Towarzystwa — bardzo dobre, a sama jego działalność nasuwa przedewszystkiem uwagę o dobroczynnych skutkach podziału pracy kulturalnej w kraju na różne ogniska prowincjonalne. Polska posiada pod tym względem niezłe tradycje historyczne, a że leżą one w charakterze narodu polskiego, świadczy o tem naturalny, samorzutny dalszy ciąg tych tradycyj, bez trudu i jakby pod naciskiem konieczności wewnętrznej w wielu miastach polskich podejmowany. Nie można poznać kultury polskiej w samej tylko stolicy, a obecnie najmniej w niej samej, niestety! Wspomagają Warszawę, a często dzielnie z nią współzawodniczą—Kraków, Poznań, Lwów i Wilno, nie licząc miast pomniejszych, które również mają swoje czcigodne wspomnienia przeszłości, ale dzisiaj w warunkach niezwykle trudnych dopiero dźwigać się zaczynają.

Całkowite zogniskowanie kultury kraju w jego stolicy państwowej jest rzeczą wogóle niemożliwą, a dążenie w tym kierunku, jeśli natychmiast na kulturze źle się nie odbije, to napewno wyjaławia kraj, na co, znajduje się, niedomaga teraz Francja. Są dziedziny, w których centralizacja musi dla korzyści ogólnej posunąć się daleko (lecz i tu są granice), jak np. koleje, poczta, armja, administracja państwowa i t. p., lecz do nich nie należy kultura, a już tembardziej — sztuką. Klasycznym przykładem rozkwitu kultury, a w szczególności — sztuk na podłożu wielu współzawodniczących ze sobą ognisk prowincjonalnych, jest Italja Średniowiecza i Odrodzenia. A i dla współczesnej Italji Rzym jest tylko stolicą państwa. Tego samego — w rozproszeniu na drobne państewka — doświadczyła kultura niemiecka

potem wstrząśnięta i zagrożona zjednoczeniem i powstaniem cesarstwa. Mamy tedy i u siebie i u obcych dostateczną ilość przesłanek do wniosku, że należy jaknajżyczliwiej traktować ambicje i wysiłki kulturalne różnych dzielnic i miast naszego kraju.

To samo, zresztą, powie nam i przyrodnicze rozważenie sprawy. Różnorodność tworzywa stanowi nieodzowny warunek rozwoju, a w sztuce działa z siłą podwojoną, ponieważ tu indywidualność twórcy jest jedyną soczewką, w której się skupia, przez którą promieniuje rozproszone w mnóstwie ludzkiem bogactwo pierwiastków artystycznych. Do powstania różnorodnych tego rodzaju soczewek duchowych znakomicie przyczynia się różnorodność gleb i otoczeń tak geograficznych, jak historycznych, pod niebem danego kraju istniejących. Zbytnia w tej dziedzinie centralizacja działa niszcząco, bo pognębia oryginalność dzielnicową. Na podstawie tych rozumowań uwidocznia się słuszność modnego dziś, tak zwanego regjonalizmu w sztuce, o ile on nie wybuja zanadto, co znowu groziłoby zasklepieniem się i zamarciem. Jak w całej budowie wszechświata, rozstrzyga i tu harmonja dwóch sił — dośrodkowej i odśrodkowej.

W związku z tą sprawą zagadnieniem już nie ogólnem, ale polskiem jest okupacja miast naszych przez ludność żydowską. Miasta wschodniej i środkowej Polski uginają się i giną pod nawałą najazdu żydowskiego. Miasta prowincji z natury rzeczy stają się ogniskami sztuki regjonalnej. W jaki sposób mogą one płonąć blaskiem odpowiednim do sił swojej okolicy, skoro w piędziesięciu, siedemdziesięciu i wyżej procentach zapchane są panoszącymi się przybyszami rasy obcej i wrogiej? Sztuka nie jest rośliną nadobłoczną, ale wszystkiemi korzeniami swojemi trzyma się gruntu ziemskiego, ludzkiego, z którego wyrasta i czerpie soki żywotne. Jej korona listowia żywi się bezpośrednio pokarmem z powietrza branym i ze słońca, lecz bez korzeni i gruntu schnie i umiera prędzej, niż miąższe pnia i konarów. Nieliczna i uboga warstwa polskiego rzemiosła, handlu i inteligencji w miastach województw wschodnich i środkowych nie może nadać polskiego charakteru tym miastom, ani utrzymać sztuki na odpowiednim poziomie moralnym i materjalnym.

Ale nietylko bierną, nietylko mechaniczną przeszkodę stanowią żydzi dla kultury miast polskich. Oni, w ostatniem zwłaszcza dziesięcioleciu, nabrali czelności i rozmachu w celowem poniżaniu i rozbijaniu kultury polskiej, co najjaskrawiej wyraziło się w dotychczasowej działalności sztuki kryptożydowskiej ze „Skamandrem“ i „Wiadomościami Literackiemi“ na czele. Sztuka polska tylko w osobach karjerowiczów i niedowarzeńców zabłąkała się pod wpływem reklamy i hałasów żydowskich, pozatem w wielkiej przewadze ostała się w czystości, a ostatnio na własne drogi wstąpiła z wolą i siłą, które dobrą jej przyszłość zapewniają. Ale sztuka kryptożydowska działa wśród polskiego ogółu i tu czyni spustoszenia, zrywając związki jego ze sztuką polską, w czem z całą zaciekłością rasową współdziała ogół inteligencji żydowskiej, pod fałszywem mianem polskiego mieszczaństwa występującej. Tym sposobem żydzi dążą do zawieszenia sztuki polskiej w próżni nadobłocznej. W zażydzonych miastach prowincjonalnych skutki tej maskarady są bodaj większe, aniżeli w Warszawie.

W szczegółach omówię, zapewne, jeszcze wystawę wilnian, oraz inne w tygodniu następnym, teraz pragnę tylko jeszcze zwrócić uwagę na znamienny i ważny dla rzeźbiarstwa nawrót sztuki wileńskiej do snycerstwa i do rzeźb barwionych. Zaczynamy nareszcie zrywać z długowiecznym nałogiem rzeźbiarstwa bezbarwnego, które zwłaszcza w odlewach gipsowych jest tak martwe i przykre kolorystycznie. P. Ludomir Ślendziński dał godną widzenia rzeźbę polichromowaną w drzewie ciętą p. t. „Safo“. Jest też i biust gipsowy kolorowany i parę rzeźb w drzewie innych artystów. Jakże one pięknie odbijają od martwych gipsów białych, a nawet marmurów! Grecy i Rzymianie starożytni rzeźbili kolorowo, malowali rzeźby, lub zestawiali części z marmurów różnobarwnych. Zdaje się, że to pierwsze wykopaliska rzeźbiarstwa starożytności, pozbawione barw przez długie przebywanie w ziemi, były powodem bezmyślnego naśladownictwa tej białości w rzeźbiarstwie europejskiem od czasów Odrodzenia. Polskie snycerstwo ludowe jest kolorowe, a Wilno wielką rzecz wypełni, jeżeli w dalszym ciągu w całości wysiłki rzeźbiarzów swoich barwnemu rzeźbiarstwu poświęci, wiążąc się jednocześnie z tradycją grecką i polską.

Poza Towarzystwem wileńskiem ze względu na przedmiot swojej sztuki zwraca uwagę malarska wystawa morska. Malarze nasi łamią sobie ręce i nogi na morzu, niema rady! Obecna załoga malarskich marynistów polskich -- to posterunek narazie stracony, zdaje się, bez ratunku. Z morzem niema żartów. Mimo jednak fatalnych błędów, wad i upadków ogląda się prace tej sali ze wzruszeniem i życzliwością. Może nie jedno jeszcze pokolenie malarzów legnie rozbite nad brzegiem Bałtyku, ale wkońcu, za przykładem narodowej polityki polskiej, i malarstwo polskie zdobędzie swoje morze. Tymczasem jednak trzeba walczyć i ginąć. W tych, na płótna przenoszonych, falach morskich widać jasno, jak mało woli i rysunku, jak mało siły barwnej posiadają nasi malarze pól i lasów! Nie chcę ich zrażać, pragnąłbym, owszem, zachęcić do dzieła z takiem ryzykiem osobistem zaczętego, ale, poprostu, nie mam o co zahaczyć tu swojej zachęty, chyba o to jedno, że, mimo wszystko, trzeba walczyć, żeby choć następcy w przyszłości, po trupach idąc poprzedników swoich, cel szlachetny osiągnęli. Nie da się tak za jednym zamachem przez dobrą wolę opanować morza! Trzeba naprzód samych siebie mocno zbudować do siły, odwagi, wielkości, godnych potężnego żywiołu.

Świeżej daty marynista, wczorajszy sylwanista, przywozi nad morze farby, pędzle, paletę, oko i wprawę, jak prawowierny naturalista, zasiada na plaży i z punktu maluje. Tak mało wiary ma w ducha, a może nie wie o jego istnieniu, że nie potrudzi się nawet w zapoznaniu się z nowym przedmiotem malarskiego swego objektywu. Zatem niedługo czeka na odpowiedź ze strony morza. Na płótnach marynisty zjawia się ona we wzgardliwej formie wszelkich wspomnień lądowych, od atramentu począwszy, a kończąc na wiejskiej śmietanie, tylko ani jednej słonej kropli morza tam niema, ani jednego fali poszumu, ani jednej barwy wodnej, ani jednego krnąbrnego łuku tych grzyw, z pełnego morza wiecznie na brzeg nadbiegających. Można być pewnym, że jeśli kiedy zjawi się tam z głębi polskiego lądu artysta-malarz dla morza przeznaczony, to minie rok, zanim odważy się on wziąć pędzel do ręki. Obowiązuje przecież pewna kurtuazja względem takiej, jak zatoka helska, modelki, a cóż mówić o wielkiem morzu, które tam, za piachem Helu, grzmi i ryczy, niby puszcza lwów i jaguarów...

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

ZMARLI

Ś. P. ZYGMUNT RÓŻYCKI

W DNIU 3 kwietnia zmarł w Pabjanicach znany z liryk drukowanych przeważnie w „Kurjerze Warszawskim“ Zygmunt Różycki. Urodzony w pow. olkuskim 7 grudnia 1883 r. kształcił się w Piotrkowie. Od r. 1900 zamieszkał w Warszawie, aby oddać się całkowicie twórczości literackiej. Ciężkie warunki zarobkowania nie pozwoliły mu sił na tem polu rozwinąć należycie. Sterawszy zdrowie i utraciwszy możność zarobkowania, żył w niedostatku. Ogłosił kilka zbiorków poezyj, chlubnie świadczących o wrodzonym talencie, wrażliwości artystycznej i polocie myśli.

OFENSYWA

KOMIWOJAŻER DYCHTATURY

Z TRZECH już tylko pozostałych na placu literackich agentów marszałkowskiej ulicy i polityki najwięcej fyrta się, krząta i zabiega Wacław Sieroszewski. Ten jest ciągle na widowni, nie schodząc równocześnie ze sceny. Trzeba przyznać, że służy mu to i na zdrowie, i na powodzenie, i na reklamę, i na poczytność prawdopodobnie. W przeciągu jednego roku, i to dla siebie dość fatalnego (odkrycia plagjatów), awansował na jakąś intelektualną znakomitość, już nie tylko narodową, ale „ponad narodową", omal europejską. Nazwisko znane tylko w kraju, ni stąd ni zowąd właśnie w stadjum zupełnego zaniku talentu, raptownie zaczęło być notowane na giełdach literackich, coprawda wyłącznie na kredyt polski, gdyż tłumaczone na obce języki jego nowele i powieści przełomu w życiu umysłowem Europy nie wywołają. Sieroszewski jak nie wniósł nic do ideowego skarbca w Polsce, będąc tylko utalentowanym egzotyczno-etnograficznym narratorem w stylu Farrère'a, tak też nie może rościć sobie w najśmielszych snach pretensyj, aby coś zaważył w intelektualnem życiu Europy.

Intelekt prymitywny, inteligencja ograniczona, kultura duchowa prościnkowa, światopogląd przedwojennych warszawskich radykałów z czwartaka. Z takim mózgiem i takiemi predyspozycjami na żadnego reprezentanta polskiej elity umysłowej absolutnie się nie nadaje i byłoby bardzo bolesne, gdyby tak w Paryżu, jak Londynie czy Waszyngtonie po djalogach z indywidualnością tak nieskomplikowaną, naiwną i typowo eurazyjską nie europejską, wyrabiano tam sobie pojęcie o poziomie naszej elity, takiego delegata i *asa* do stolic i metropolij wysyłającej. Rozmawiający z nim rodacy w Warszawie często bywają zakłopotani i zażenowani tą pasterską czy patrjarchalną prostotą i surowizną jego poglądów, pasyj, animozyj, gustów i... gestów. Na tle londyńskiego klubu czy paryskiej Sorbony jest to sobie odmiana senackiego Szymansia, najniewłaściwszy człowiek na najniewłaściwszem miejscu. W braku atoli laku dobry jest i opłatek. Skoro nie mamy na eksport żadnej autentycznej znakomitości, bardziej polskiej i więcej europejskiej, skoro karmazyny wycofały się w zacisza, trzeba było w danej sytuacji przyjąć go z dobrodziejstwem inwentarza i rozdąć reklamowo taki nawet autorytet jako następcę rzetelnie Wielkich.

Sieroszewski wychodzi na tem świetnie. Temu przynajmniej kompromisy, dworactwo i służalstwo przynoszą sowite profity. Kadzi bo kadzi swemu Marszałkowi, ale też on jeden królewsko hojnie jest za to wynagradzany. Ostatnio radca Neuman (z Łodzi) szara eminencja naszej ambasady w Paryżu wyrobił mu (na otarcie łez po odkryciu plagjatów) komandorję Legji Honorowej. Nie jest to znów taki splendor nad splendory, skoro niedawno radca Neuman wyrobił taki krzyż także dla p. Michałka Sokolnickiego, a wnet dostanie go pewnie i Cezar Zawiłowski, wydawca pruskiej „Gadziny Polski". Z racji tej dekoracji zaaranżowano Sieroszewskiemu w Sorbonie wielką Akademję z frakami, wyproszonymi literatami trzeciej sorty, orkiestrą wojskową, Chopinem granym na pianinie (*sic!*), chórami i t. p. Piła piekielna trwała od 8-mej do 1-wszej w nocy, poczem jeszcze uraczono zaagitowanych przez szlachetną p. Rosę Bailly „przyjaciół Polski" filmem z „Pana Tadeusza". Przemawiał oczywiście i nasz *faux bonhomme* i niezmożony eksploatator Sybiru. W zasadzie nic nie możnaby mieć przeciw takim owacjom, oracjom i sensacjom. *Habeat sibi.* Tam gdzie Mickiewicz ginął z głodu a Norwid umierał w szpitalu, niech sobie p. Sieroszewski wyfraczony i wyfutrowany funduszami dyspozycyjnemi na bankietach spija szampana. Obrzydzenie tylko bierze i odraza, kiedy się o tych komedjanctwach i spektaklach, tak misternie wyreżyserowanych przez radcę Neumana, czyta sprawozdania w prasie sanatorżników i zestawia to z prasą francuską. „Sieroszewski podbił Paryż" załgiwa się już w tytule korespondent „Polski Zbrojnej". A tymczasem w prasie paryskiej o tem albo nic, albo minimalnie.

Równocześnie z p. Sieroszewskim gościli w Paryżu Emil Ludwig, autor „Bismarka" i „Wilhelma" z Berlina oraz dr. E. Benesz z Pragi. Dla Benesza urządziła wielką owację „Akademja Nieśmiertelnych" mianująca go członkiem korespondentem, Emila Ludwiga (Cohna) fetował Paryż germanofilski. O tych dwóch reprezentantach obcych narodów pełna była cała prasa paryska notatek i artykułów i superlatywów. Tych uznano tam powszechnie za autentyczne wielkości europejskie.

O tych można było potem pisać, że „podbili Paryż" O Sieroszewskim niestety: nie. Jak nie „podbiła" *miss* Polonja, jak nie „podbiła" *miss* Wieniawa, jak nie „podbili" wodzowie Legjonów, tak też nie „podbił", bo niczem „podbić" nie mógł ten nad Sekwaną „autor nieznany".

Takie i tym podobne propagrandy kosztują bardzo wiele, a rezultatu nie przynoszą literalnie żadnego. To są manifestacje sztuczne i puste, bez echa i bez rezonansu. Poczytność czy popularność polskich pisarzy i polskiej literatury nie wzrośnie przez takie fety i piły uroczyste ani o jeden milimetr. Na drugi dzień nazwisko takiej na kredyt obkadzanej persony zapada w morze zapomnienia.

Irytujący w tem wszystkiem jest tylko i wyłącznie Chopin, grany na pianinie w Sali Sorbony. Inne rzeczy są ludzkie, arcyludzkie. To atoli jest niewybaczalne. Niech pan Neuman rozdaje sobie Krzyże na prawo i lewo, niezapominać o Orocie i Jellencie, Bandurskim i Bandrowskim! Ale żeby pozwolić grać Chopina na pianinie w Sali Sorbony... to skandal! Neumanku, Neumanku, jak ty się trywjalizujesz, obcując z sierżantami Assanacji!

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Czasopismo „Niepodległość", redagowane przez Leona Wasilewskiego, socjalistę, dołącza do każdego zeszytu prospekt, w którym czytamy: „Niepodległość pragnie poświęcić uwagę wyłącznie jednemu tylko okresowi naszych dziejów porozbiorowych od upadku powstania styczniowego do odrodzenia się niepodległej państwowości polskiej... Dla zrozumienia naszego życia dzisiejszego konieczne jest skrzętne gromadzenie wszystkiego" i t. d. A dla ilustracji redakcja zamieściła w prospekcie zbiorową fotografję, na której widzimy przy stoliku pp. Mościckiego Ignacego, Piłsudskiego Józefa, Witolda Jodkę-Narkiewicza i in. Istotnie „Niepodległość" przyczyniła się znakomicie do tego, że ogół polski rozumiał „nasze życie dzisiejsze"... Dalszy ciąg ilustracyj i wizerunków, z tamtą epoką związanych, znajdujemy na ostatniej stronie socjalistycznej „Pobudki". Tak wygląda w rzeczywistości „niepodległość" według ideologji socjalistów tamtego okresu swoiście realizowana.

*

Dzienniki „sanacyjne" ogromnie się gniewają na obóz narodowy, że przeszkadza bawić się miłośnikom gier wojennych w nowe co lat dziesięć awantury. Do ludzi, którzy odczuwają tragicznie losy państwa, narażonego na swawolę garstki ludzi nieodpowiedzialnych, nie mających w kraju żadnego zaufania, lokajczuki śmią przemawiać jak do kogoś, co może nie bronić narodu od klęski i świadomie na katastrofę zezwolić. „Co wam szkodzi — powiadają — niech się pobawią. Chłopcy tak łakną sławy, choćby sławki! Przecież to ich jest Polska — oni ją zdobyli".

*

Do Sanacji walą w drzwi, a wokół coraz głośniejsze wołanie: Dość ukrytej dyktatury. W przedpokoju tylko służba. Jej pozostawiono utarczkę z Opinją. Wyfraczeni pp.: Miedziński, Świtalski parlamentują. Jeden z nich, trzymając talerz z resztkami, przez łańcuch w drzwiach do wzburzonej opinji:

— Co pani uważa?

— Tu jest ukryty dyktator.

— Nie było i niema wogóle dyktatora. A zresztą „nikt go nigdy ukrywać nie usiłował". „Dwa słowa — dwa fałsze". (Gazeta Polska, nr. 98).

*

Żydowski „Nasz Przegląd" zamieszcza następujące wspomnienia historyczne (nr. 100).

„Sami socjaliści nie mogli częstokroć przeprowadzić własnych posłów, więc liczyli na pomoc drobnomieszczaństwa żydowskiego, ujmując się jego krzywd. Istotnie wybrańcem żydowskim z Galicji stał się Daszyński, jak wybrańcem żydowskim w Królestwie robotnik pepesowiec Jagiełło... Daszyński częstokroć stawał w obronie żydów, a na wiecach przemawiał niekiedy nawet po żydowsku".

Ciekawa rzecz, czy „Robotnik" sprostuje powyższe wspomnienia, jako nieścisłe, czy też potwierdzi je — milczeniem.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.** Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57, Zielna 47 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM